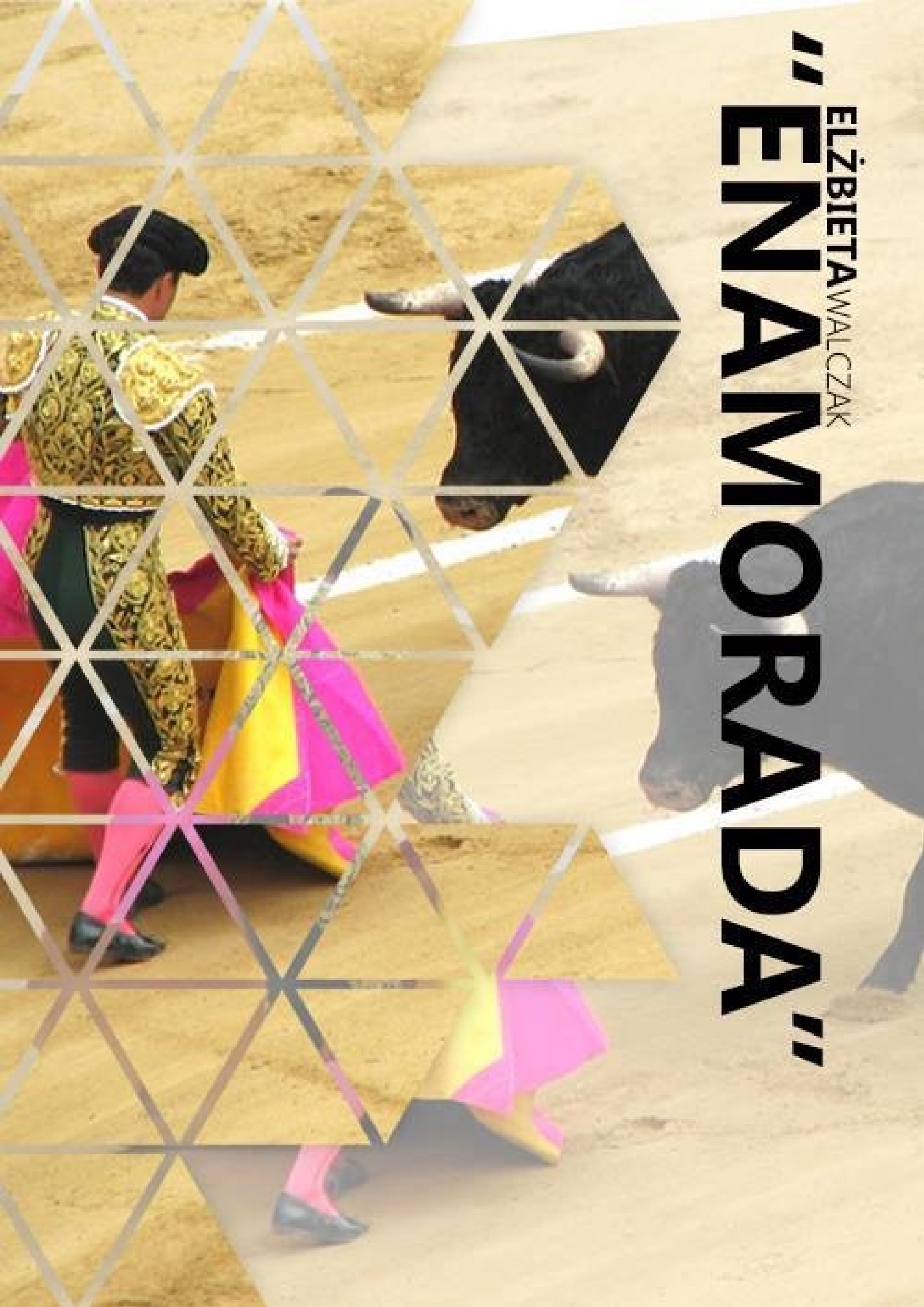


ELŻBIETA WALCZAK

"ENJAMORADA"



ELŻBIETA WALCZAK

ENAMORADA

Enamorada Art.

Wydawca:
Enamorada Art.
Kontakt: enamorada.art@wp.pl

Korekta tekstu:
Iza Walczak

Projekt okładki:
Krystian Szczubliński

Przygotowanie wydania elektronicznego:
Przemysław Trafalski / ebookman.pl

Wydanie pierwsze
ISBN: 978-83-943468-1-2
Copyright © Enamorada Art.

SPIS TREŚCI

POCZĄTEK

ODCINEK I: Czas na zmiany

ODCINEK II: Moda na sukces

ODCINEK III: Dyskretne pocałunki

ODCINEK IV: Almodovar by się zdziwił

ODCINEK V: Feng-shui, coaching i takie tam

ODCINEK VI: Casting

ODCINEK VII: Pomieszanie z poplątaniem – brazylijskie problemy

ODCINEK VIII: Przepowiednie Rysia

ODCINEK IX: Musical – Premiera

ODCINEK X: Kubanosy

ODCINEK XI: Enamorada – zakochana w życiu z wzajemnością

ENAMORADA PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ...

ODCINEK 250: My / Oni

ODCINEK 251: Kochając marzcie o przyszłości

ODCINEK 252: Ślub

ODCINEK 253:

Enamorada dziesięć lat później, czyli Przepowiednia Rysia

Ponad dziesięć lat później...

POCZĄTEK

Jestem bezrobotną dziennikarką. Mam czterdzieści pięć lat. Parę dyplomów i certyfikatów, które wiszą nad biurkiem. Nigdy nie dostałam długopisu ani zegarka w podziękowaniu za wysiłek, jaki włożyłam w swoją pracę. Moje zmarszczki zaczęły się przenosić przez ekran telewizji. Komuś to przeszkadzało. Moim widzom chyba nie. Zwolnili mnie tak, po prostu, po piętnastu latach wkładania energii, wysiłku i realizowania moich pomysłów dla kogoś. Obraziłam się na świat. Od pół roku siedzę w domu. Oglądam seriale, ćwiczę pilates i jogę, dużo czytam. Jeden serial nawet mi się spodobał. Jestem pod wrażeniem Jose Manchego i jego żony, która nigdy się nie dowie, że zdradzała ją z Juanitą i brzydką Laurą. Ona go nie zdradzała, ale myślała o innych. To też zdrada.

Coś się jednak zmieniło w moim życiu. Może wpływ na to miało feng-shui, którym zainteresowałam się z nudów. Sztuka feng-shui odnosi się do sfer życia, na które jako ludzie możemy mieć wpływ. Kształtując odpowiednio kierunek „ti” oraz „ren” zyskujemy odmianę swojego losu. Kupiłam kilka symboli, które chyba powiesiłam nie po tej stronie, co powinnam, bo nic się nie zmieniło. Czekałam na propozycję pracy i oglądałam codziennie program telewizyjny, który stworzyłam, a jakaś młoda cipka zarzynała go na moich oczach. A więc poczytałam i dowiedziałam się, że moje feng-shui to wszystko, co skierowane na północny zachód. Wszystko, co skierowane w innym kierunku, to porażka. Przewiesiłam gadżety i zdjętko mojego męża

w tym właśnie kierunku. Czy bardziej mnie kocha – nie wiem.

Mateusz jest poważnym biznesmen. Prezesem spółki „Matela”. Ładna nazwa, kobieca. Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu pięciu lat. Udanym? Czasami strzelamy fochy, a czasami nie. To, co dzieje się w naszym życiu teraz, to niezły scenariusz na serial polsko-brazylijski. Poskładałabym z tego tysiąc trzysta odcinków.

Byłam pod wielkim wpływem brazylijskiego serialu o seniorze Manhego, dlatego Marysię, naszą służącą z Bzowa, nazwałam Carmen. Taka walka z nudą.

Ten stan sprawiał, że kłóciliśmy się z Matim przynajmniej raz w tygodniu. Nie było o co, tak naprawdę, ale wydawało mi się, że wszystko jest przeciwko mnie. Sama tworzyłam klimat, w którym nie potrafiłam się odnaleźć, więc zaczęłam wymyślać swój nowy scenariusz na życie. Długo nie wiedziałam o co mi chodzi. Po pół roku chyba jednak przyzwyczałam się i pokochałam ten czas. Nazwałam ten stan, swoją prywatną brazyliadą.

ODCINEK I

Czas na zmiany

– Znowu stawiasz pasjansę Ela? Popraw mi krawat. Mam spotkanie z zarządem. Spóźnię się.

– Zarząd ma jakieś imię? – spytałam Mateusza.

– Foch? Znowu? – zaczesywał nażelowany pióropusz i czyścił paluchem zęby. Ohyda.

– Kiedy wrócisz Mati? – nie odrywałam wzroku od kart, bo nie dało się patrzeć na ten poranny cyrk.

– Nie wiem, jak się przedłuży, to dam ci znak.

– Jak się wydłuży, to też daj znak – podniosłam wzrok i widziałam, że jest zmieszany.

– Ela, proszę cię. Te twoje żarciki już mi się przejadły.

Mateusz codziennie rano odbywał ten sam rytuał. Błękitna koszula, żel na włosy i kretyński czerwony krawat. Zawsze się spieszył. Po prostu petarda: szafa, lustro, toaleta, żel, teczka, kurteczka i już go nie było. Prawie, bo zatrzymał się w drzwiach i wrócił do lustra.

– Zrób dzisiaj paellę. Albo nie, same krewetki zrób. Lustro przetrzyj, bo zniekształca. Żelu zabrakło. Zadzwoń do Kwiatkowskiej.

Kwiatkowska, to nasza sąsiadka. Dystrybutor kosmetyków.

– Po co mi o tym mówisz? – spytałam i wypięłam pupkę w jego stronę. Nie zauważył, przeleciał koło mnie.

– Czas... Czas mnie goni. Ostro i do przodu! Jak się prezentuję? Hę? Dam im dzisiaj popalić. Nie siedź godzinami przy tym komputerze i zostaw te karty. Miłego dnia.

Od pół roku życzy mi miłego dnia! Czasami mówię do siebie. Mój monolog wewnętrzny, który się musi uzewnętrznić jakoś. Podniosłam żel, żeby sprawdzić faktyczną zawartość i monologowałam:

„Urocze. Kosmetyki Kwiatkowskiej. Wiem do czego pijesz, Mateuszu. Dystrybutora chce ze mnie zrobić. Kretyn. *Witam, doniosłam panu pachnidła na lata całe. Polecam. Donia Ela*”.

Spojrzałam na siebie w lustro i stwierdziłam, że faktycznie zniekształca. Biodra jakby szersze, znalazłam dwa włosy na brodzie, nową zmarszczkę i nowy pieprzyk na czole.

„Ja pitole był wcześniej czy nie? Czegoś ci brakuje Elu. Żelu? Miłości? Radości?” – spojrzałam w lustro, a z tyłu, za mną, stał wielki hiszpański kok we włosach.

Carmen, moja służąca z Bzowa, zawsze pojawia się cicho, bezszelestnie. Najpierw obserwuje przez dziurkę od klucza, co się dzieje. Potem pojawia się, stoi, patrzy i czeka.

– Carmen weszłaś tak cichutko. Nawet nie szurasz kapciami. Brawo. Co tam?

– Przyniosłam korespondencję dla pana Mateusza.

– Połóż proszę. Ładnie wyglądasz.

– Dziękuję.

– Pięknie... Naprawdę! – mam nadzieję, że nie wierzyła w to co mówię, bo codziennie wyglądała identyko.

– Pani śniadanie... – ten piszczący głos drażnił mnie coraz bardziej.

– Postaw – ugryzłam rogalika, który od razu skojarzył mi się z zapomnianą, męską częścią ciała i poczułam się lepiej.

– Jak ci się Carmen układa z mężem? – pytałam, bo coś trzeba było mówić.

– Zmienił się – odpowiedziała nieśmiało.

– Postarzał się? – ciamkałam z rozkoszą.

– Nie, nawet nie to. Ciągle czegoś szuka.

– Czego taki Rysiu może szukać. Czystych majtek? Wódki? Oni bez przerwy czegoś szukają. Oj tam. Znajdziecie, każdy w końcu znajduje – konwersowałam, czując maselko orzechowe i ciepłko w ustach.

– Oby nie w kimś innym.

– Tak Carmen. Każdy ma swoje problemy. Straciłam pracę. Skończyłam czterdziestkę i nie mam głowy do tego, żeby rozumieć. Możesz iść – ciamkałam. – Przejedź tylko szmatką posążek Buddy. Bo może to przez ten kurz przestałam być ukochanym dzieckiem Wszechświata.

– Pan Mateusz, gdyby to słyszał byłoby mu trochę przykro. Kocha panią.

– Szczęście już mnie dawno opuściło. Mam czterdzieści pięć lat i żadnych perspektyw na przyszłość. Dziennikarka roku to przeszłość. Nie poja-
dłam. Co mamy jeszcze dobrego w lodówce?

– Wszystko co pani potrzebuje, żeby obejrzeć swój program. Po co pani to robi? Trzeba się ogarnąć i iść dalej – mówiła, przecierając posążek uśmiechniętego Buddy.

– Jak mam iść dalej? Jak jakaś młoda cipka zarzyna moje medialne dzie-
ciątko – chodziło o mój program telewizyjny, który stworzyłam. Codziennie go oglądałam, płakałam, popijałam, obżerałam się. Musiałam. To było silniej-

sze ode mnie.

– Po co pani na to patrzy?

– Carmen, proszę cię. Przynieś lody, chipsy i kielicha. I włącz ten telewizor.

– Dobrze, ale nie zmusi mnie pani, żeby oglądać go z panią. Proszę bardzo.

Włączyła. Nie wytrzymałam presji. Młoda, ładna. Musiałam sobie nałożyć. Wcześniej tego nie robiłam, ale w tej sytuacji... Bolało.

– Szanowni państwo, w dzisiejszym programie „Kawa czy kawa z cukrem”, będziemy gościć znanego terapeutę – pana Vana.

– Jesteś zaszranu – gadałam do telewizora – terapeuta Van? Skąd go wytrzasnęłaś? Amatorka!

– To trudne – mądrował się pan Van – trzeba zmienić nawyki myślowe. Zmiany muszą dokonać się w nas samych. Co wewnątrz, to na zewnątrz.

– To prawda – dodałam swój komentarzyk – jeśli w środku wygląda ten pan tak jak na zewnątrz, to gratuluję.

– Każdą terapię zacząłbym od zadania sobie pytania: czego tak naprawdę chcesz? Jeśli znasz odpowiedź na to pytanie, wszystko się zmienia, nakierowuje się samo.

– Że tak powiem – wiedziałam, co powie. Zawsze wiedziałam.

– Że tak powiem. Nasi rodzice już od dzieciństwa wpajali nam złe nawyki myślowe. Powiedzenia typu: jesteś niedobry, dzieci i ryby głosu nie mają, wyrobiły w nas nawyk autodestrukcji.

– Zaszraniec – wytknęłam język do telewizora.

– Szanowni państwo. Nasz gość będzie odbierał telefony jeszcze przez pół godziny. Trzej pierwsi telewidzowie, którzy się do nas dodzwonią, będą mieli szansę na rozmowę na antenie i otrzymają w prezencie kosz pełen niespodzianek.

– Wolałabym torbę z twoją dedykacją. Dlaczego zgasiłaś telewizor? Carmen!

– Pan Mateusz podjechał – wiedziała, że cierpię.

– Jak to, o tej porze? Zabieraj to żarełko. Daleko nie chowaj.

*

Mateusz wpadł wściekły z zalaną jedwabną, niebieską koszulą kupioną w ZARZE. Kocha te klimaty, więc miał prawo być wściekły.

– Co tu robisz Mateusz?

– Wyszedłem na parking, podawałem stróżowi kwitek. Wylazł do mnie z kawą i zobacz – wymachiwał łapkami i prezentował wielką, brązową plamę na pięknej koszuli.

– Kawa czy kawa z cukrem? – spytałam złośliwie. Bo mój program nazywał się „Kawa czy kawa z cukrem”, ale już tylko ja o tym pamiętałam.

– Z cukrem, bo zobacz... Spójrz – był naprawdę rozdarty.

– Przyjechałeś spod firmy zmienić koszulę?

– Powinni go zwolnić za ten numer.

– Ile miał lat?

– Około czterdziestki. A jakie to ma znaczenie? Wiesz ile ta koszula...

– Kosztowała? Wiem. Sama ci ją kupiłam. Jak jeszcze pracowałam.

– To sama rozumiesz moje poruszenie.

– Nie przeginaj.

Na słowa *nie przeginaj* stanął jak wryty, rozejrzał się. Szukał motywu, żeby mi dowalić. Znalazł. Włączony, wyciszony telewizor, a w nim „zasraniec”: uśmiechnięta twarz, bez zmarszczek i kompleksów.

– Ela, jak tak siedzisz, to sprawdź moje walizki. Wyjeżdżam za tydzień służbowo. Oczywiście mówię teraz, żeby nie było, że nie mówiłem.

– Aha – próbowałam zareagować na tę wiadomość.

– Mówię teraz, bo wiem jak cię wszystko ostatnio drażni. Zobacz ile mam na głowie – nie wiem czy znowu mu chodziło o żel. – Na jogę się zapiszę. Taki żarcik. Ty też się ogarnij, bo widzę, że się coraz bardziej nudzisz. Minę masz taką, że bez kija nie podchodz. Zapomnij już o telewizji. Skończyłaś czterdziecę. Pogódź się z tym – doszedł do mnie i spojrzał mi w oczy. – Obiecuj, że znajdziesz dla siebie jakieś sensowne zajęcie. Tak dłużej nie można. Ten botoks, mówiłem. Zobacz jaką masz tu zmarchę – dotknął mojego czoła – skasował cię ten skalpel jak za zboże. Moja matka nigdy niczego nie stosowała. Może olej słonecznikowy jak się opalała. I zobacz, siedemdziesiątka na karku i ho, ho! Kawy nie pij. Ta dziewczyna co cię w telewizji zastępuje zrobiła bardzo ciekawy wywiad o kawie. Krawat mi popraw – poprawiłam.

– Podduszasz mnie! Wariatka.

– Stara wariatka.

– Ty to powiedziałaś. Zwolnili cię z tej telewizji bo... bo podduszałaś wszystkich swoją zaborczością. Myślenie zmień. Pozytywnie się do życia nastaw. Tyle masz tu pozytywnych książek. Elka, do ciebie mówię! Czarną masz duszę jak moja koszula. Co ja gadam. Wysysasz ze mnie pozytywną energię. Jestem wykończony. Wypalony. Wy-me-mła-ny.

– Nie krzycz tak, bo się muchy zlecą.

– Chciałabyś pewnie, żeby to były hiszpańskie muchy. Kwiatkowska dzwoniła do mnie. Pytała czy nie zajęłabyś się dystrybucją kosmetyków. Ludzie cię znają, szanują, może coś kupią. Żadna praca. Zastanów się.

– A jednak! – wyszło szydło z worka, chodziło o dystrybucję. – Nie reżyseruj mi życia.

– Ktoś musi.

– Z dziennikarki chcesz zrobić dystrybutora?

– Rozczulasz się nad sobą pół roku. To ty przestałaś galopować ze mną.

Dziennikarka roku, która stawia sobie pasjanse, żeby sprawdzić czy się ziści. Radziłaś sobie bez tego. Zrobiłaś coś dla siebie dzisiaj? Czy tylko myślałaś o tym jak wpłynąłem na twoją porażkę? Myślisz, że twój wiek, twoje zmarszczki, twój cellulit i zmiana zarządu w telewizji to moja wina. Czyż nie?

– Mati! – krzyknęłam, bo troszkę przeginaliśmy oboje. Tak jak mówiłam, przynajmniej raz w tygodniu.

– A o czym myślisz jak już sobie wyjdę? O mnie? Nie, myślisz wyłącznie o sobie. Myślisz o tym, czy pasuje założyć białe spodnie i stringi do tego. Czy będzie widać to takie, co jak palcem dotkniesz, to się zapada i zaraz potem podnosi. Nawet nie zapytałaś dlaczego jem luncha na mieście. Powiem ci dlaczego. Bo po ostatnim twoim obiedzie, który jedliśmy wspólnie nie mogłem zatrzymać... Biegunki, nie mogłem zatrzymać! Latałem w firmie jak opętany. Bąka przez ciebie puściłem, Elu. Wstydu się najadłem! Powiedz coś. Milczysz w ważnych życiowych kwestiach. Przestałaś się starać!

– Twoje bąki są ważną kwestią od dwudziestu lat. Spać się nie da. Od dwudziestu lat ten schemat, co wieczór. Chrapanie i bąki.

– Nie mogłaś mi tego powiedzieć wcześniej?

– Jak?

– Porozmawiamy o tym przy kolacji. Muszę lecieć. Czekają na mnie.

– A leć. Nikt nie będzie tęsknił. I nie wracaj. Mam dosyć! – walnęłam rączką w stół i rozsypał się mój pasjans, stawiany cały poranek.

– Ja też! Trzasnął drzwiami i wyszedł. Atmosfera była zagęszczona i nie do zniesienia.

– Carmen, kielicha! Nic nie mów. Co mi pokazujesz? Kolorowe, durne czasopismo – wniosła jakiś periodyk, nie wiedzieć dlaczego w tym momencie. – „Żyj tak, jakby to był ostatni dzień z tych, które ci jeszcze zostały”? Czy to są oferty firm pogrzebowych? – rzuciłam je na stół.

– Nie, oferty matrymonialne.

– Sugerujesz, że czas na zmiany? – wzięłam z powrotem. – Chcesz mi je przeczytać? Sama przeczytam. Albo od razu napiszę: „Poznam pana w średnim wieku, poszukującego prawdziwej miłości”.

Naprawdę miałam dosyć. Siedziałam od pół roku w domu. Im bardziej tam siedziałam, tym więcej czytałam durnowatych książek i oglądałam równie durnowate seriale. Mateusz od wielu lat czytał wyłącznie pozytywne pozycje literackie: „Czym się karmisz, tym nasiąkasz”, „Co dajesz – wraca”. Tym się karmił, tym się nakręcał. Ja przerzuciłam się na pilates i feng-shui. Ale moja podświadomość załapała temat z książki: „Jak skończysz czterdziestkę, to cię uśpią”. Bałam się. Mój ojciec zawsze mówił matce takie rzeczy. Zastanawiałam się na ile przyczynili się do mojej złej karmy. Zaprogramowali mój strach. Jestem pewna. Zauważyłam, że coraz częściej mówię do siebie. Stałam i zupełnie nieświadomie monologowałam przed lustrem:

– A gdyby powiększyć sobie piersi i wyjechać w poszukiwaniu przygód. W poszukiwaniu prawdziwej, nie powiem tego słowa na M. Majorca, nie Casablanca. Inni ludzie, inni klimat. Inny męski, czarujący, kruczoczarny Mateusz. Oszukam przeznaczenie. Niech będzie blondyn, Bradzio Pidzio. Si. Albo niech ma brodę, albo coś dłuższego. Włosy niech będą dłuższe. Niech będzie owłosiony cały. Niech to będzie masażysta – dotknęłam swoich małych piersi. – Niewidomy masażysta. Ole! Muszę się odrobinę podlać.

Bez odgłosu, po cichutku wlaźła Carmen. Wiedziałam, że słyszy:

– Czyż nie, Carmen? – dodałam.

– Gdyby umiała się pani ogarnąć, byłaby pani inną kobietą. Teraz telewizja potrzebuje zadbanych. To pani obżarstwo do niczego dobrego nie doprowadzi. A podlewać to by się pani mogła z umitygowaniem – komentowała zbierając zastawy ze stołu.

– Co to za słowo, Carmen?

– Normalne, polskie. A nie: si, gracias. Co to kogo obchodzi? Woda z mózgu. Pani jest wykształcona, piękna. Można artykuły dla gazet pisać. A nie ogłoszenia matrymonialne. No i co z tego, że tyle lat zmarnowanych.

Można zacząć od nowa.

– Carmen odejdz. Daj mi spokój. Zasłaniasz. Manchego odchodzi od Laury – odganiałam ją od telewizora.

– Idę, ale nie będę krzyczeć „chować kieliszki” jak pan Mateusz podjeżdżie.

– Nie musisz. Podjęłam decyzję.

– Jaką decyzję?

– Odchodzę.

– Proszę mi oddać ten alkohol! – próbowała zabrać butelkę ze stołu, więc ją przycisnęłam do siebie.

– Proszę. Zobacz Carmen – otworzyłam laptopa – ktoś jednak odpisał. – Wysłałam swoje ogłoszenie matrymonialne, tak na próbę: „Jestem teraz właścicielem siłowni. Kocham panią.” Widzisz... Albo to: „Jestem emerytowanym aktorem. Grałem w reklamach kleju do zębów. Powinna mnie pani znać”. Oddychaj Carmen. Jeszcze, głębiej – sapała ze złości na mnie. Ale zupełnie mi to nie przeszkadzało, aby kontynuować. – Powinnam znać? Możesz odejść. Resztę doczytam sama.

Lubię Marysię, w sensie Carmen. Jest taka wrażliwa, oddana i potrafi kochać Rysia, który rozmawia ze zwierzętami, bo ma podobno wyrobioną intuicję. A ja nigdy nie przeżyłam prawdziwej miłości. Mateusz... Nawet nie wiem jak wygląda. Czy ma cellulit, czy nowy pieprzyk. Tyle czasu minęło. Obejrzę serial, a potem się zastanowię.

Dopiłam resztki z butelki i zasnęłam.

*

– Hola. Pani Sola? – usłyszałam, jakby przez sen.

– Que tal? To pan odpowiedział na moje ogłoszenie? – słyszałam szum morza i grzało słońce.

– Si. Nazywam się Manuel Manchego. Dziękuję, że pani przyszła.

Siedziałam w meksykańskiej restauracji. Na stole leżała róża i książka. Kruczoczarny nieznajomy dotykał mojej ręki.

– Co pani robi? – nie wiedziałam o co pyta, ale z ruchu jego warg ustaliłam, że o mój zawód.

– Jestem dystrybutorem kosmetyków – odpowiedziałam.

– Piękny zawód. Zamówię Martini. Szybko pani przysła.

– A po co tyle czekać? Tak ładnie pan napisał – wypłam duszkiem Martini. Chyba zaschło mi gardle.

Zamówię następne. Może powie mi coś o sobie... Był taki piękny i delikatny. Czułam muskania jego warg na swojej dłoni i ciepło, jakbym jadła masło orzechowe.

– Nie mam nic do ukrycia. Jestem otwarta i szczerą. Mówię co myślę. A pan co myśli? – miał na sobie meksykańskie sombrero, które przeszkadzało mi dojrzeć kolor jego oczu.

– Różne rzeczy. Raz myślę o pracy, raz o niej nie myślę. Tak po prostu już mam.

– Potrafi pan złapać równowagę – uśmiechnęłam się w dziwnie zwolnionym tempie i moje wargi lekko zatrzepotały.

– Si. Jeśli tylko praca nie jest ciężka. Silny jestem. Pani jest delikatna. Ale widzę, że nosi pani w sobie ciężary. Co wewnątrz, to na zewnątrz. Musi się pani ich pozbyć. Wiszą u szyi i ramion.

– Tak, te ciężary nie pozwalają się ruszyć. Bez nich mogłabym pójść daleko – przesuwałam się ciałem w jego kierunku.

– Pięknie to pani powiedziała. Jeśli zmierzmy się z tym razem, to udźwigniemy wszystkie ciężary. Szybko pani pije. Zamówię następny. O czym to ja mówiłem...

– Że jak nie będziemy sami, to nie będziemy samotni.

– Co robimy, żeby móc razem... – obsunęłam się pod stół.

– Si, za szybko pani pije – usłyszałam dziwny dźwięk.

*

– Carmen! Co tam? Spałam? Tyle czasu? – spojrzałam na zegar. Robiłam to coraz częściej. Przesypiałam – Mogłaś mnie obudzić.

– Próbowałam. Pan Mateusz podjechał. Podać lunch?

– Jakbyś mogła.

– Ello. I'm home! – wrzeszczał od drzwi mój ukochany

– Co to za chemia w powietrzu? Piłás? O tej porze?

– Mały drineczek, z małą parasoleczką – mówiąc szczerze, byłam nieźle wstawiona.

– Te twoje brazylijskie problemy cię kiedyś przerosną.

– Mateusz. Usiądź, proszę – nie miałam humoru, więc nadszedł kolejny czas rozstania.

Tak postanowiłam. Rzuciłam okiem w stronę lustra: włos potargany, szybko wyjęłam „śpiocha” z oka, ale tym razem Mateusz był szybszy.

– Długo nad tym wszystkim dzisiaj myślałaś? – wiedział co powiem, odchodziłam co tydzień, więc się nie bał.

– Nad czym?

– Nad tym, co za chwilę usłyszę.

– Tym razem, to poważna sprawa.

– Wiem, przeżyłem tysiące twoich ważnych spraw.

No i tym razem byłam pewna, że decyzja była słuszna.

– Wiesz, ile lat jesteśmy ze sobą? – spytałam, oparta o blat stołu.

– Wiem. Tyle ile mam paluszków? – patrzył i miał kamienną twarz. Zupełnie jak Ozerio z mojego ukochanego serialu. Zadufany w sobie i nieczuły.

– Tyle, ile miałam zmarszczek, zanim je usunęłam. Dwadzieścia pięć –

odpowiedziałam z równie zimnym spojrzeniem.

– Miałaś tyle zmarszczek?

– Jedna zmarszczka, to jeden rok z tobą.

– I cellulit w pakiecie – był bezczelny.

– Sam widzisz. Ja mówię czarne. Ty mówisz białe. I tak przez dwadzieścia pięć lat.

– Galopujesz – pukał paluchami w blat.

– Nie robiłam tego ho, ho.

– Nie świntusz, te twoje żarciki przestały mnie bawić.

– Pamiętasz, kiedy ostatni raz galopowaliśmy razem?

– Wszystko jest na mojej głowie. Daty kredytów, szyfry do sejfu. Zapytam inaczej. Do czego pijesz od rana?

– Rozstajemy się Mateusz.

– Jak to? Tak po prostu? Po dwudziestu pięciu latach? – pytał przeżuważając kluski, które podała mu Carmen.

– Nie po prostu. Po dwudziestu pięciu latach, nieudanego małżeństwa. Dłużej nie dam rady tego znosić. Chcę zacząć od nowa. Z nową energią i z nowym nastawieniem do życia – oczywiście to był cytat z którejś z jego ukochanych książek. – Chcę być szczęśliwa. Znasz znaczenie słowa szczęśliwa?

– Jestem szczęśliwy – patrzył spode łba.

– To znaczy, że znasz, ale ja nie znam.

– Czego ci brakuje Ela? Wszystko masz. Mówisz, masz.

– Ty mówisz, że mam. Ja mówię, że nie mam.

– Mamy piękny dom – przestrzeń, cisza – i cały czas ciamkał.

– Oczywiście. Nasze ranczo jest większe od rancza Alejandro Bermudez

– wiecie, brazyliada.

Licytowaliśmy się czas jakiś.

– Nawet konie mamy – to powiedział Mateusz.

– Ty masz konie – a to ja.

– Za to ty masz szmergla i to coraz większego. Możemy kupić czwartego konia.

Galopowałam już w temacie rozstań, byłam w tym niezła. Nie zwracałam uwagi na to, czy sprawiam mu przykrość. Stałam głównie tyłem do niego, żeby nie widzieć jego nieczułych spojrzeń albo, żeby nie zauważył mojej nowej zmarszczki, która pojawiła się na mojej twarzy. Już sama nie wiem, ale parłam do przodu.

– Muszę zmienić zawód. To upokarzające w tym wieku.

– Kto ci każe zmienić zawód?

– Nie wiem, kto. Nie stawiam pasjansów.

– Stawiasz. Oszukujesz siebie. Nie wiesz czego chcesz. Skończyłaś czterdziestkę i co z tego? Jesteś piękniejsza niż zwykle? Mądrzejsza? Lepsza? Lepiej gotujesz niż kiedyś. Oprócz tego jednego razu, no wiesz... No, rozwinęłaś się.

– Pożyczam jedną walizkę – wyrwałam się do szafy.

– Jedziesz do mamy? – odsunął talerz i wytarł usta o obrus.

– Odchodzę. Zmęczyły mnie twoje biznes plany i ta cała Matela.

– Dobrze Elu, też już jestem zmęczony. Wiesz czym najbardziej?

– Szuraniem kapciami i małymi piersiami. Zawsze patrzysz mi tylko w oczy. Biust mam tutaj. Odchodzę Mateusz. Carmen, zostajesz z panem Mateuszem. Mam to gdzieś.

– Tak proszę pani – powiedziała ze smutkiem moja służąca.

– Zniszczyłaś nasze życie. Idź i nie wracaj. Będziesz skamlała pod

drzwiami. Nie wpuszczę!

– Nie wpuszczaj. Carmen, podaj panu kielicha. Niech się ogarnie.

Wzięłam walizkę, wrzuciłam ciuchy i wyszłam. Zatrzymałam się za drzwiami, odwróciłam głowę i wyszeptałam: „Adios”. Mateusz został sam z Carmen.

*

– O co jej chodzi, Carmen? Wszystko ma. Od pół roku rozczuła się nad sobą. Ogląda jakieś brazylijskie pierdoły i czyta głupoty. Posłuchaj: „Donia Ines galopowała na swoim koniu. Poranna przejażdżka dobrze jej robiła. Kochała go całym sercem. I innymi organami”.

– Może o te inne organy chodzi. Podać kielicha?

– Podać. Idź do domu Carmen. Nie chcę żebyś mnie widziała w takim stanie.

– Zostanę. Bo tutaj mieszkam. Jest pan za miękki.

– Czym jest sukces? – płakał Mateusz wypijając duszkiem alkohol, a nigdy nie pił. – Czym jest luksus? Zdobywaliśmy wszystko razem: od łyżki po mercedesa. Podaj drugą butelkę Carmen i idź. Podaj mi chusteczki por favor.

– Niech się pan nie poddaje.

– Nie poddam się. Napiszę książkę o naszej miłości, a potem zrobię z tego serial. To się opłaca.

*

Stałam w drzwiach, postawiłam walizkę, mój mąż wyglądał niezmiernie seksownie. Byłam inna, w swoim żywiole.

– Czy mnie wzrok nie myli? Już wróciłaś? Wcześniej niż zwykle. Wydmuchało z ciebie powietrze? – miał na głowie sombrero, które dostał w prezencie od naszego sąsiada.

– Wydmuchało. Więcej nie pijesz. Carmen, zrób panu szatana. Ogarnij

się mistrzuniu, bo wracam do zawodu. Dzwonił jakiś Grzesiuk. Pracuje dla korporacji Kitroni. Zwolnili go, bo skończył czterdziestkę. Zrobię o tym reportaż.

– Przecież jesteś wypalona – jego nakrycie głowy osunęło mu się na twarz, więc je zrzucił na podłogę.

– Zacznę od nowa. Z nową energią. Z nowym nastawieniem do życia. Zakocham się...

– Elu, ustalmy coś! – próbował uderzyć ręką w stół, ale jego wibrująca dłoń uniosła się tylko na chwilę i zatrzymała się na kolanach.

– Zakocham się w życiu z wzajemnością. Jak Mancego w Majte.

– Jak Kwiatkowska w żelu... – ledwo wyartykułował Mateusz.

Zadzwoił do mnie facet, niejaki Grzesiuk, którego zwolnili z korporacji, bo skończył czterdzieści lat. Poczułam, że nadszedł czas zemsty i dobrobytu. Dam im wszystkim popalić. Poszłam przewieszać feng-shui na kierunek „sukces”.

ODCINEK II

Moda na sukces

Po wywiadzie z Grzesiukiem wszystko się zmieniło. Nie było jak dawniej. Było inaczej, lepiej. A może... Lepiej nie mówić. Wpadliśmy w sidła „mody na sukces”.

– Co czytasz Elka? – lubiłam, jak mnie tak nazywał mój mąż.

– Wywiad z Grzesiukiem. Wygraliśmy proces i pięknie to opisali. Pojawił się taki mechanik i odwrócił moją kartę.

– Co to? To pod gazetą? Znowu zaczynasz, pasjansować?

– Oj tam, zaraz.

– Kwiatkowska dzwoniła

– Mateusz delikatnie uniósł gazetę, pod którą leżał rozłożony pasjans.

Kwiatkowska to ta nasza sąsiadka-dystrybutorka. Mówiąc szczerze, udało się jej i odniosła sukces w tej branży.

– Mam już pracę. Ma kobieta tupet. Co chce nam znowu wcisnąć. Żel pod prysznic?

– Chce u nas zrobić prezentację. Jak zaprosimy dziesięć osób, to możemy wygrać wycieczkę na Kubę.

– Odbiło ci? Zgodziłeś się?! – zamknęłam gazetę, zebrałam karty ze stołu i oparłam rączkę o podbródek, patrząc z niedowierzaniem na mojego męża, poważnego biznesmena, który właśnie przekazywał mi średnio poważną informację.

– Będzie z tym swoim kubańskim przystojniaczkiem. Marzysz o takich pachnidełkach, czyż nie?

„Kubański przystojniaczek” to jej mąż, Diego. Fajny facet. Są ze sobą też już jakieś dwadzieścia pięć lat.

– Tak mi mów. O której ta prezentacja? – nawet mi się to spodobało.

– Wieczorkiem.

– Kto będzie? – spytałam, bo sama na taką prezentację bym nie poszła.

– Wszyscy, których lubisz. No i wiesz, kochanie, musi być dziesięć osób, bo inaczej nici z wycieczki.

– To znaczy, że knujesz. Ile masz?

– Osiem.

– Aż osiem osób chce zobaczyć taką porażkę?

– Musisz mi pomóc. Elu, wyciągaj swój kalendarz.

– Proszę – podałam mu swój kalendarz, ale nie lubiłam jak ktoś grzebie w moich zawodowych kontaktach. Jak znam życie, zaraz będzie węszył. – Jeśli kogoś z tej listy znasz, to proszę.

– Ja nie znam, ale ty...

– Nie przyłożę do tego ręki.

Każdy wie, że te wszystkie firmy bazują na cudzych danych, z cudzych kalendarzy. Mati miał wypieki na twarzy.

– A... Almodovar? – przeglądał i ciamkał orzeszki.

– To ksywka naczelnego – uświadomiłam mu, w razie czego.

– Czemu tak? – spytał.

– Uczył się sztuki reportażu na pornosach – stanęłam nad nim, żeby spojrzeć mu na ręce.

– No i widzisz, jak wysoko zaszedł. B... Borzęcki. Ładnie brzmi. Ten się nada.

– Wątpię. Muzyk eventowy. Idę do kuchni.

– Wstydzisz się? Jak zwykle zostaję sam na polu bitwy. W momentach trudnych jestem sam jak ta samotna wyspa! Pan Borzęcki... – wykręcił numer do muzyka.

Wydzwaniał. Dał radę.

– Ela! Mamy go!

Byłam w kuchni z Carmen, przygotowywałyśmy mały catering na wieczorną porażkę.

– Żeby czegoś nie zwinął – mówiłam, próbując w tym czasie sałatkę. – Teraz ty spróbuj bohaterze. Więcej papryczki dla twoich gości? To przepis z programu „Ręce, które potrafią gotować”.

– No i całkiem, całkiem. Nie zawiedziesz. Wymyśl coś. Jeszcze jedna osoba. Paluszki lizać.

– Nie podlizuj się. Ktoś dzwoni. Otworzysz?

W drzwiach stała Lilka, córka Kwiatkowskiej. Studiuje aktorstwo, ale dorabia na dystrybucji. Niezła laska. Tak twierdzi Mateusz. Ale ten mąż Kwiatkowskiej też całkiem, całkiem. A więc jesteśmy z Mateuszkiem kwita.

– O! Pani Liliana. Witamy. – Mój małżonek był w siódmym niebie widząc córkę sąsiadów. Przeczesał paluszkami włosy i gestem otwartości zaprosił dziewczynę do środka.

– Dzień dobry. Mama mnie przysłała. Prosiła, żeby potwierdzić prezen-

tację i zobaczyć miejsce, w którym się odbędzie.

– Nic się nie zmieniło. Pewnie, że będzie. Proszę spocząć... – Lilka usiadła zarzuciwszy nogę, na nogę.

– A może Pani Lila zna jakąś osobę, która może przybyć na czas prezentacji. Zapewniamy pyszny catering i mnóstwo innych atrakcji – widziałam kątem oka, jak przebierał nóżkami.

– Z jednej strony ma pan więcej żelu. Mama zobaczy od razu – skierowała palec na prawą stronę głowy mojego przystojniaczka.

– Aha, a dokładnie gdzie? – spytał, oczywiście z wypiekami i z nadzieją, że dotknie jego skroni.

– Pokazuję. Tu.

Musiałam wkroczyć, bo nie trawię takiej żenady.

– Mati!

Wypieki na twarzy nie opuszczały go. Miał coś w rodzaju erytrofobii, cokolwiek to znaczy.

– Ta jedna osoba... Przywieziemy pani coś z Kuby.

– Z Kuby to ja już wszystko mam. Niech pomyślę... Wujek do taty w odwiedziny przyjechał. Chce tu kupić dom. Porozmawiam z nim, może się zgodzi.

A o wujku nie wiedziałam. Więc nieśmiało zapytałam.

– Wujek?

– Brat taty – odpowiedziała, nie bardzo rozumiejąc mój zachwyty.

Mateusz spojrzał na mnie znacząco, bo wyczuł zagrożenie.

– Elka, do kuchni – przeganiał mnie.

– Carmen tam mieszka, ale zostawiam was – przesłałam państwu uśmiech numer trzy i posuwistym krokiem udałam się do garów. Został sam na polu bitwy.

- A na ten catering? Co państwo przewidujecie? – zapytała Liliana.
- Potrawy z programu „Ręce, które potrafią gotować”. Moja małżonka jest namiętnym oglądaczem programów kulinarnych i pomyśleliśmy, że mały lansik będzie odpowiedni na tak nadzwyczajny pokaz.
- Wujek jest przyzwyczajony do egzotycznych potraw – kamienna twarz Liliany nie wzruszyła Matiego, kontynuował z tym samym uśmiechem.
- Będą krewetki i paella z kurczakiem.
- To w takim razie wujek będzie.
- Byłoby naprawdę pysznie – był buraczkowy coraz bardziej.
- Też konsultuję. A więc będzie więcej osób. Proszę to wziąć pod uwagę. To ja pójdę. Zobaczymy się wieczorem. Ten żel... Mama jest uczulona.
- A jasne. Zaraz zeskrobię. Taka prezentacja to fajna praca – myślałam, że pięknie. Oparł się o futrynę i trzymał za pasek od spodni.
- To nie moja praca, pomagam mamie. Chcę być aktorką.
- To znajomość podkładów na twarz się może przydać – tutaj nastąpił sztuczny uśmiech numer siedem.
- Się może przydać. Do zobaczenia.
- Urocze adios – zamknął drzwi i spojrzał w lustro, sprawdzał czy dobrze wyglądał. Zawsze to robi.

*

Z Carmen robiłyśmy farsze i myślałam o tym, że chyba jestem dla niego niemiała.

- Carmen, wlej mi kielicha. Nie patrz tak. Taka jestem... niemiała. Chciałabym być, jak źdźbło trawy lub jak kwitnąca roślina. Muszę się podlewać.
- Jest pani rozbita?
- Czuję się rozbita. Powiedziałam rozbita czy rozpita?

– Po co to wszystko? – łyżka, którą mieszała farsz, zatrzymała się przy jej ustach.

– Walczymy z pustką i z nudą.

– Właśnie z nudów nazwała mnie pani Carmen – oblizała farsz i mieszała dalej.

To prawda, nudziłam się, ale to było jakiś czas temu.

– Ciągle jeszcze pamiętasz? Kręć dokładnie ten farsz... Nie mam nic do Bzowa, Marysiu.

Tu chodzi o wiarygodność. Bzów. Taka se droga i taka se willa. Prawie jak Sewilla. Dlatego nazwałam cię Carmen. Ma-ry-sia. Jak to brzmi? Nie brzmi wcale. Kogo to obchodzi, że masz Rysia. Ale czy Rysiu naprawdę na ciebie zasługuje? Czy on się stara? Czy on dba o ciebie, czy kwiaty ci przynosi? Czy tylko chce, żebyś mu wiązała krawat – sprzedawałam mądrości, popijając kolejnego drineczka.

Wystrojony Mateuszek wylizywał garnki i łyżki po farszu, które Carmen wrzuciła do zlewu.

– Ela, schodzą się goście. Krawat mi popraw i ubierz się jakoś. Carmen, tobie też tylko kolca do nosa brakuje. Co to za falbany? Ty jej kazałaś to założyć? Tak ubrana możesz rozmawiać w Bzowie z bykami. To poważna prezentacja.

*

No i zaczęło się. Goście wchodzili, nie wiedząc o co chodzi, bo w takim marketingu się tego nie zdradza. Nie znam mechanizmów, ale to pierwsza i ostatnia prezentacja w naszym życiu.

– Brakuje tylko Borzęckiego – szepnęłam Mateuszowi do ucha – Mówiłam.

– No to Kuba, jak psu w dupę – machnął ręką i przebierał nerwowo nogami mój mąż.

Dawno nie widzieliśmy tych wszystkich ludzi. Nie wiem, jak to zniosę. Pierwsza para gości nie ukrywała zachwyty.

– Elu! Pięknie wyglądasz. Joga ci służy. Czy musimy spotykać się raz w roku?

Na prezentacjach i pokazach? Brakuje mi ciebie. Wróciłaś do telewizji. Jesteś na szczycie. Brawo. Zawsze w ciebie wierzyliśmy z Krzysiem. Krzysiu, nieprawdaż?

Krzysiu był naszym terapeutą. Albo inaczej – będzie, bo po tej prezentacji nie będziemy schodzić z jego kozetki. A tani nie jest.

– Elu, zdradź mi tajemnicę, co to za pokaz. Mnóstwo zagranicznych gości – rany musiał o to zapytać?

– Tylko dwóch. To pięć minut Mateusza.

– Jesteście tacy asertywni. Zazdroszczę wam. Potem muszę zobaczyć, Mateusz, twojego konia – stwierdził Krzyś.

– Ja też – dodała jego urocza żona, spoglądając w rozporek Mateusza.

– Zapraszam państwa. Zaczynamy! – przerwała dystrybutorka i pięknym uśmiechem przywoływała na prezentację.

Kwiatkowska przygotowała produkty. Rozstawiła je na stole i włączyła rzutnik. Fotki, nie powiem, zobaczyłabym parę takich miejsc. Tu przyznaję, zazdroszczę. Cała reszta – niekoniecznie. Miała ładny głos i seksowne wdzianko. I to wszystko. Ciekawe co pokaże.

– Witam państwa bardzo serdecznie. Pokażę dzisiaj, razem z moim mężem Diego, jak można zostać milionerem w trzy miesiące – rozpoczęła. Krzyś spojrział na nas ukradkiem, jego żona też.

– Kurwa, Amwaj. Wychodzimy Krzysiek.

– Siadaj. Zobaczmy. To może nie to

– Krzyś złapał za rękę swoją drugą połowę, która była niebanalnie rozczarowana.

Kwiatkowska kontynuowała.

– Ta firma dała nam to, czego nie dał nam nikt inny. Diego, pokaż państwu zdjęcia z naszych podróży. Ten kosmetyk...

Po cichutku, na paluszkach przez zażenowany „tłum”, przeciskał się spóźniony muzyk – Borzęcki. Pani dystrybutor potraktowała go konkretnie.

– Spóźnił się pan prawie pół godziny. Tłumaczyć będziemy się później.

Długowłosy Borzęcki stanął z rękami do góry. Żartowniś taki.

– Nie strzelać! Dałem ciała, ale muzykiem jestem – spojrzał na rzutnik i rozejrzał się po twarzach. – Co to za szopka?

– Niech pan siada. Oцени pan potem.

Borzęcki powąchał swoją pachę. Mateusz schylił głowę i złapał się za skroń. Miał poczucie winy i chyba nie czuł się najlepiej.

– Potem to ja trochę jadę. Dezodorant był kupił. Od razu po ewencie przyjechałem.

– Mamy – z uroczym uśmiechem podniosła dystrybutorka do góry produkt – fantastyczny dezodorant i również proszek, którego moc zaskoczy wszystkie panie domu. Chan, brat Diego jest kawalerem i spójrzcie na biel jego kołnierza. Sam pierze i sam musi dokonać zakupu.

Chan posiadał na sobie piękną kubańską koszulę z trochę staromodnym, wielkim kołnierzem.

Boże! Bałam się o naszą reputację i relacje w późniejszym czasie z naszymi znajomymi. „Krzyśki” wyraźnie mieli dosyć.

– Krzysiek, to jakaś masakra. Zabiję tego Mateusza.

– Ewelinko, milionerzy w branży kosmetycznej to faktycznie farsa. Wolałbym sieciówkę samochodową. Brat kupuje od szwagra, szwagier od matki siostry jej brata i to jest biznes.

*

Kwiatkowska skończyła swoją prezentację. Wszyscy patrzyli na nią z politowaniem i biegiem lecieli do stołu z cateringiem. Diego był przyzwyczajony do takich porażek, więc dzielnie ją wspierał.

– Chodź kwiatuszku. Piękna prezentacja. Zjesz coś? Dobre krewetki, takie jak w domu.

– Chyba w twoim domu. W moim je się bigos. Podeszłam, żeby ją pocieszyć. Żal mi było kobity.

– Chce pani bigosu? Mam. Przejdźmy na ty.

– Marcelina.

– Ela.

Mateusz wyraźnie nie wytrzymał ciśnienia.

– No! I kiedy ta Kuba? – pytał, drapiąc się nerwowo po nażelowanych skroniach, potem spuścił rączki, żeby poprawić pasek w spodniach. Głupio się uśmiechnął i patrzył.

Czar seksownej bizneswoman prysnął w jednej sekundzie.

– Trzeba dokonać zakupów na określoną sumę. Pana goście też. Ja swoją pracę wykonałam, reszta zależy od państwa motywacji. Jeśli chęć podróżowania będzie silniejsza od strachu i wstydu, to witamy na Kubie. Ostro i do przodu!

Wściekła zwinęła kraciaste torby i wyszła. Mateusz nerwowo obgryzał paznokcie. Widziałam, że nie wie co powiedzieć tym wszystkim ludziom. Musiałam wkroczyć i zaczęłam ściemniać.

– Szanowni Państwo. Wiem, że spodziewaliście się zupełnie czegoś innego. Senior Diego i jego piękna polska żona odnoszą sukcesy w swojej branży od lat. A my wszyscy jesteśmy ludźmi sukcesu. Dokonajmy zakupów, produkty są rewelacyjne, ręczę za to. Pomóżmy tym ludziom wspiąć się na szczyt. Nam też kiedyś, ktoś pomógł. Decyzję zostawiam wam.

Patrzyli na mnie baranym wzrokiem. Ewelina trzymała krewetkę przy

ustach i wiedziałam, że za chwilę coś się stanie. Zaczął Krzysiek.

– No i to mi się podoba. Wypisuję czek na grubą sumę i biorę trzy szampony. Daj mi proszku parę kilo – odetchnęłam z ulgą. – I panu muzykowi w prezencie kupuję dwa dezodoranty.

– Dziękuję – ścisnął dłoń Krzysia Borzęcki.

– Nie ma za co panie muzyku. Stał pan za blisko mnie, ale opłaciło się.

Wszyscy wyjęli portfele i kupowali. Kupili wszystko. Zjedli, co było do zjedzenia i zostaliśmy z Mateuszem sami. Mati spuścił wzrok i znowu zrobił się buraczkowy.

– Kto pierwszy idzie pod prysznic? – zapytał.

– Usiądź na chwilę Mateusz – nie miałam do niego pretensji i chciałam mu to uświadomić.

– Idę spać. Albo zajrzę jeszcze do konia.

– Kup mu coś w prezencie.

– Ela, ja...

– Wiem. Jesteś asertywny, pomysłowy i jakiś tam jeszcze. Usiądź na chwilę przy mnie. Kocham cię pierdoło – złapałam go za rękę

– Idź do tego swojego konia i wróć za chwilę. Będę leżeć, czekać i ładnie pachnieć. Nic się nie stało. Przecież się zgodziłam. Podaj mi książkę.

Nie miałam żalu do niego za ten pokaz. Spróbowaliśmy, po prostu. Choć wiedziałam, że to absolutna porażka. Mateusz poszedł do konia. Wzięłam książkę i przeczytałam sobie fragment. Oczywiście na głos i kilka razy.

Donia Ines wstała, jak zwykle o świcie. I jak zwykle, mimo wczesnej pory, zobaczyła słońce wysoko na niebie. Co za kraj, pomyślała. Co za kraj, gdzie dzień wita mnie jasnym światłem i spojrzeniem pięknych mężczyzn. Dostrzegła galopującego konia. A na nim prostą, smukłą sylwetkę. Dogalopował do Inez.

Ziewnęłam.

Zeskoczył. Seniora nazywam się Chan. Chan-Chan. I usiadł na pniu...

Chyba zasnęłam.

ODCINEK III

Dyskretne pocałunki

Lubiłam Kwiatkowskich. Byliśmy sąsiadami prawie dwadzieścia lat. Diego przyjechał do Polski z Kuby. Lecieli z Marceliną tym samym samolotem. Podobno wysiadł na lotnisku, uklęknął i zaczął płakać. Podeszła do niego, otarła łzy i tak się zaczęło. Mają piękną córkę, psa i dobrą pracę. Często przy kawie i salsie opowiadamy sobie o naszym życiu i takich tam, babskich problemach. Po prezentacji, zaprzyjaźniłyśmy się. Wiedziałam o nich wszystko. Spotykałyśmy się dosyć często i uwielbiałam słuchać o jej problemach z Diego.

– Wyobraź sobie Elu, że którejś niedzieli wstaliśmy wszyscy na śniadanie, jak zwykle. I mój mąż po raz kolejny doprowadził mnie do łez. W niedzielę. Rozumiesz?

– Mów. Otwórz się. Kawy? – pociągnęłam temat. Wiedziałam, że pół dnia mam z głowy. Uwielbiałam ten stan.

– Tak, kawy poproszę. Lilcuś wstała oczywiście pierwsza...

Opowieść była ciekawa. Lilka, ich córka, chciała zrobić własny musical.

– Mamo, potrzebuję trochę kaski, muszę opłacić lekcje tańca flamenco –

oznajmiła przy porannym rodzinnym śniadaniu.

– Flamenco? Takie pach-pach – dopytywała o szczegóły Marcelina

– Teraz ty spróbuj Diego. Zobaczymy czy cię będę rozumieć. To mowa ciała. Piękne. No i się zaczęło. Mój mąż rozpoczął dzień.

– Mogę cię nauczyć salsy za darmo. Wyrzucacie pieniądze na wszystko. Strata czasu, flamenco!

– Chcę cię poinformować tato, że robię swój własny projekt. Spektakl – Lilka miała łzy w oczach.

– Projekt-srojekt. Wszyscy tylko projektują, a płacą nie projektanci – komentował Diego. Podobnie jak Mateusz ciamkał i gadał. Faktycznie masakra.

– Spokojnie bąbel. Przełknij. Co to za projekt? – Diego był dla Marceliny Bąblem.

– Muzyczny. Zaprosiłam do współpracy gwiazdy – Lilka mówiła i czekała na reakcję.

– Gwiazdy, srazdy! – położył ręce na stole i próbował wstać.

Kwiatkowska nie wytrzymała i otworzyła się na maksa.

– Wiesz Elu, seks między nami to też, tylko wtedy, kiedy on ma humor. Musiałam mu dać popalić.

Tłumaczyła mi jak wyglądał jej poranek, choć sama przechodziłam przez to pół roku. A więc ucieszyłam się, że nie ja jedna mam takie problemy.

– Nie próbuj wstawać! – krzyknęła Marcelina – Siadaj i słuchaj! Nasze dziecko ma coś do powiedzenia.

– Perdona me – odchrząknął ojciec i głowa rodziny Kwiatkowskich.

– Zmiękł? – zapytałam głupio.

Lilka była naprawdę urocza i zdolna. Miała przed sobą przyszłość. Nigdy nie mieliśmy dzieci. Nie wiem dlaczego. Nikt nigdy o to nie zapytał. Siedziałam z otwartą buzią, bo Lilka parła do przodu. Miała to po matce.

– Robię musical.

– Robi musical. Mógłbyś dziecku pomóc i zatańczyć w jej projekcie tę swoją salsę za darmo. Brawo Liliuś. Wierzyłam w ciebie zawsze.

Podobno zaczęła płakać ze wzruszenia. Rodzice tak mają. Diego nie odpuszczał.

– Najpierw pokaż dziecku co potrafisz, zanim się zastanowię.

– Tato, ja będę w tym spektaklu śpiewać.

– Pokaż jak się ruszasz – Diego miękł. – Muszę zobaczyć, żebym wiedział, za co płacę.

– Tato nie teraz. Za chwilę przyjdzie kilka osób, na pierwszą próbę. Pan Borzęcki. Pamiętasz? Oj, ktoś dzwoni. Ja otworzę.

– Ja to zrobię! – podobno odpychał ją od wizjera. Otworzył. – Witam panie Borzęcki. To pan spóźnił się na prezentację. Zmienił pan szampon na nasz? Bo za próg nie wpuszczę.

– Tato, pan Borzęcki to muzyk, będzie grał w tym spektaklu.

– Za darmo? Taką twarz można promować za darmo. Ilu tych muzyków będzie? – stał oparty o drzwi i nie pozwolił wejść ekipie projektu muzycznego.

– Czterech – odpowiedział dosyć śmiało Borzęcki.

– To już trochę ludzi jest – oczywiście Diego myślał o sobie. Chciał wszystkim na siłę wciskać swoje produkty. Za drzwiami stało jeszcze kilka osób, wyglądało na to, że to naprawdę poważny projekt.

– I państwo do kogo? – witał uroczo swoich gości.

– Szkoła tańca flamenco Galiteo – odpowiedział tancerz mówiący z obcym akcentem.

– Ile osób? – męczący padre zadawał pytania, trzymając wszystkich za progiem.

– Dwie.

– Proszę wejść – wpuszczał parami. – Żona przygotuje ulotki.

Zrozumiałam, że Lilka przygotowywała się do rozmowy z padre jakiś czas. I, że tylko postawienie go przed faktem dokonany pozwoli podjąć mu decyzję, której nikt nie będzie w stanie zmienić. Odetchnęłam z ulgą, kiedy w opowiadaniu Marceliny wszystkim udało się wejście do środka.

– Chodźcie. Panie Borzęcki, wziął pan nuty? – zapytała Lilka.

– Gram bez nut. Zawsze jestem przygotowany na wszelką ewentualność.

– Pani Roksano – zwróciła się do tancerki. – Chciałabym, żebyście w tym utworze o pocałunku, byli tacy ulotni. Żeby wasze dłonie były takie pach-pach. Taka mowa ciała. Panie Borzęcki, co pokazałam?

– Że będą naleśniki na kolację?

– Dobrze – cichutko odpowiedziała Lilka.

– Mam nabić na dwa czy na trzy? – Borzęcki dyskretnie przesłał Lilce pocałunek.

– Jest pan podobno przygotowany – Lilka odwzajemniła uśmiech muzykowi.

– Upewniam się – wyjął kostkę do gitary, flanelową szmatkę i przetarł instrument.

Diego nie wytrzymał ciśnienia.

– Zaczniecie wreszcie? Chcę zobaczyć ten projekt. Jak mam być producentem i wyłożyć dinero. Co tak patrzycie? Wykładam kasę i chcę wiedzieć na co.

Dopiłam kawę i siedziałam oniemiała z zachwytu. Dwie kobiety rozpracowały kubański system myślowy.

– Kocham cię tatku – Lilcuś wiedziała, że jej ojciec prędzej czy później zmięknie.

Jego temperament i sposób bycia czasami przeszkadzały mu w okazywaniu uczuć. Ale kochał je ponad wszystko. Kwiatkowska wniosła wielki talerz żarełka do pokoju, w którym odbywała się próba.

– Zjedzmy po małej kanapeczce. Panie Borzęcki pan taki chudziutki. Proszę się nie krępować. Pani Roxano, pani też taka szczuplutka. Zjedzmy coś.

Opowieść Kwiatkowskiej została przerwana. Usłyszałyśmy pukanie do drzwi. Za drzwiami stał Diego.

– Cholera, twój mąż! – byłam nieco zaskoczona.

– Spodziewałam się, że przylezie tutaj za mną.

Jeszcze nie wiedziałam, co powiedzieć, ale zaczął on.

– Witam. Konia przyszedłem pożyczyć. Błoto takie, że terenówką nawet nie dojadę.

– Jest Mateusz? – wszedł i spojrzał na swoją żonę, udając zaskoczenie. – O! Marcela, terenówką nie dojadę.

Marcela patrzyła i nie wierzyła własnym oczom.

– Usiądź Bąbel, za nim się zagalopujesz. Pożyczasz konia od sąsiadów, bo ci szkoda samochodu? Ogarnij się. Bo mnie drażnisz i to konkretnie.

Diego nie udawał, był sobą.

– Ogarnij się? Trzy niedziele proszę o założenie felg i błotników.

– Kogo prosisz? Lilkę?

Dziwnie było słuchać kłótni obcych ludzi. Byłam przerażona, że można się zwracać do siebie w taki sposób. Moja brazyliada była jednak inna.

– Was! Karamba. Wozić dupy ma kto, ale przy „koniu” posprzątać, to już nie.

– Ręk nie masz? Błotników założyć nie możesz?

– Chciałem się przy okazji przejechać na koniu... – no i to był prawdzi-

wy powód.

– Aha! To normalnie powiedzieć nie możesz?! – Kwiatkowska nie dała sobie wejść na głowę.

Podobało mi się to. Ja w takiej sytuacji po prostu pakowałam walizkę i wychodziłam. Z ciekawością zaczęłam przyglądać się moim sąsiadom.

– Mogę. Chcę kupić własnego jak zarobię na tym musicalu.

Słuchałam i przyznam szczerze, że zabrzmiał jakoś rozsądnie. Mimo wszystko uroczo. Zadzwoiłam do Mateusza. Karamba pozwolił.

– Gracias, za dwie godziny będę z powrotem.

Próbował Marcelinie ze szczęścia przesłać dyskretny pocałunek, ale się nie dało. Nie patrzyła na niego.

– Mnie powinienesz dziękować – próbowałam sprzedać żarcik i rozluźnić atmosferę. – Buziak i jesteśmy kwita.

Minę miał nietęgą, ale cmoknął delikatnie.

– Pocałujcie mnie w dupę – odwrócił się i powiedział coś do siebie, ale nie dało się nie usłyszeć.

– Słyszałaś co powiedział? – Marcelinie trzęsły się ręce.

– Spokojnie Marcelina. Kryzys wieku średniego.

– Mam dosyć tych jego kryzysów.

Kwiatkowska spoglądała przez okno na swojego ukochanego. Mimo wszystko, była nim zachwycona.

– Zobacz Ela, ktoś przyjechał do Carmen. Całują się. Znasz go?

Spojrzałam przez okno.

– Nie, ale to chyba jej mąż, Rysiu.

– Patrz, Diego wyjeżdża ze stajni, jaki dumny! – gapiłyśmy się obie. Niestety powiało grozą.

– Cholera, wziął nie tego konia – zobaczyłam, że wsiadł na konia, który jeszcze nie był oswojony z ludźmi i miejscem. Kupiliśmy go dwa dni temu i dawał popalić.

– Jak to?

– Zakładaj kurtkę, będzie potrzebował naszej pomocy.

Wyszliśmy z domu, ale było za późno. Koń rzucał się na wszystkie strony, a Diego wykrzykiwał brzydkie polskie słowo na ka po hiszpańsku.

– Zatrzymajcie go! – biegłam i krzyczałam do Rysia, który podobno rozmawia ze zwierzętami. – Panie Ryśku! Niech go pan złapie za uprząż.

Rysiu biegł i krzyczał po swojemu. Koń nie miał zamiaru ustąpić. Stanęliśmy jak wryte. Rysiek skakał, machał swoimi krótkimi rączkami i nic. Nagle położył się na ziemi przed koniem, podniósł nogi w górę, koń stanął, popatrzył i podszedł do Rysia.

– Niech pan złazi! – krzyknął do Diego, leżąc na ziemi. – Musimy poważnie porozmawiać „koniu”.

Diego miał pianę na ustach. Marcelina biegła w jego stronę.

– Diego, wszystko w porządku?

– Si. Ale jazda, kurde. Narowisty. Nic mu przecież nie zrobiłem.

W tej właśnie chwili podszedł do nas Rysiu.

– Jak pan chce jeszcze kiedyś na nim pojechać, to musi go pan przeprosić.

– Za co ?

– Za kobyle caco! Nie wypada mówić przy kobietach, ale wyśmiał pan wielkość jego przyrodzenia i proponował hiszpańską muchę, bo podobno pana żona...

Diego zaczerwienił się, było to widać na ciemnej karnacji, a Marcelina ratowała sytuację.

– Spokojnie proszę mu powiedzieć, w sensie zwiarakowi, że to się więcej nie powtórzy. Diego! Zwariowałeś! Takie rzeczy opowiadać.

– A komu mam się zwierzać. Idę do domu.

No wiedziałam, że może mieć żal do Marceliny, ale aż taki. Diego podszedł do Rysia.

– Kto panu to powiedział?

– Koń. Tak nie wolno. Zwierzęta jak ludzie. Potrzebują miłości i szacunku.

– Skąd pan to wie?

– Wiem, co mówię.

– A jaśniej? – Diego nie rozumiał, co Ryś pragnie mu przekazać.

– Coś pokażę.

Rysiek i Diego weszli do stajni.

– Są trzy konie, tak? – zatrzymał wzrok na trzech końskich zadkach i odwrócił się w kierunku Diego, czekając na sygnał, że zrozumiał.

– Tak – oczy Diego były coraz większe, bo nadal intencje mówcy były niejasne.

– Każdy ma własne imię, tak? – Ryszard ukucnął i wypisywał na piasku imiona.

– Si. Panie Rysiu. Co?

– Ja jestem Rysiu, pan jakiś tam Diego, ale mamy własną osobowość i inne odciski palców. A to znaczy, że jesteśmy niepowtarzalni, nie ma drugiego takiego jak ja, czy pan. Zrozumiał, senior? – postawił znak równości na ziemi przy imionach koni i Diego. – Należy się szacunek, chociażby za to.

– Za co?

– Nigdy pan nie był w Amwaju?

– Rany boskie, a co to ma wspólnego?

– Jakby pan był w Amwaju, to by pan wiedział, że każdy może...

– Mieć własne mydło?

– Własną osobowość. Z ludźmi się nie dogadałem, dlatego przerwuję swoje pozytywne myślenie i umiejętności mojej intuicji na zwierzaki.

– Da się? – Diego dyskretnie zamazywał nogą swoje imię na pasku, bo nie podobało mu się to porównanie.

– Nigdy się nie poddawaj, jak to mówią – Ryszard wziął wiązki siana i poklepał Diego po ramieniu.

– Czad! Do zobaczenia panie Rysiu.

– Urocze adios. Języki też znam. Odczytany jestem. Zostanę, pocieszę go.

– No dobrze, jak pan chce, powodzenia.

Diego wyszedł. Rysiek uśmiechnął się do siebie i krzyknął za sąsiadem:

– Senior! Przyjął przeprosiny.

Diego i Marcelina przytulili się do siebie i poszli w kierunku swojego domu.

– A pocałujcie wy mnie wszyscy w d...

– Diego, dyskretniej, jeszcze koń usłyszy – odpowiedziała Kwiatkowska i dyskretnie klepnęła go tam, gdzie chciał, żeby go pocałować – Kupię ci takiego konia, jak naprawdę pomożesz Lilce.

– Przecież wiesz, że to zrobię – odrzekł i klepnął Marcelinę równie dyskretnie.

*

– Panie Rysiu, o co chodzi z tym mówieniem konia do pana. Przecież, to jakiś absurd – weszłam do stajni i zagabywałam Rysia, no bo jak to tak, ze zwierzętami rozmawiać.

– Wszystko słyszałem, spokojnie. Przenosiłem siano. Ten pani sąsiad narowisty, jak on. Gadał do niego, zwierzał się. Łatwo w życiu nie ma z tą swoją żoną – opowiadał Ryszard, szczerząc się. – Chwalił mu się, że jest milionerem w Amwaju. Milioner a konia przyszedł pożyczyć. Byłem w tym Amwaju, za miesiąc będzie pożyczać od pani cukier. Nie przedstawiłem się, jestem mężem Marysi.

– Domyśliłam się – odpowiedziałam.

– Miałaby pani coś przeciwko temu, gdybym pobyl z nią jakiś czas?

Był miłym facetem, choć wyobrażałam go sobie zupełnie inaczej. Wiedziałam, że oboje mają problemy finansowe, dlatego postanowiłam zatrudnić Rysia.

– Jeśli pan chce, może pan zostać i pracować u nas. W stajni, w ogrodzie, przyda się Mateuszowi również kierowca w firmie. Na początek, potem zobaczymy.

– Dziękuję – po cichutku, na paluszkach podeszła Carmen i pocałowała mnie dyskretnie w policzek.

– Bawcie się dzieciaki i bądźcie szczęśliwi – jakoś mi się wyrwała taka mądrość życiowa.

Szłam w kierunku drzwi i nagle usłyszałam podświadomy głos:

– Zadbaj o własne szczęście – nie wiedziałam kto to mówi, bo przecież nie ja. Wiedziałabym, że to ja. Prawda?

Odwróciłam się, a koń kiwał łbem w moim kierunku i rżał.

– Nie, to niemożliwe – powiedziałam do siebie dyskretnie.

Odwróciłam się drugi raz.

– Możliwe! – krzyknął do mnie Ryszard z Bzowa.

Podjechał samochód Mateusza.

– Dzień dobry kochanie – przywitał mnie – jak minął dzień?

– Dobrze. Jadłeś lunch?

– Nie, czekałem na powrót do domu – złapał mnie za rękę i delikatnie ścisnął.

– Zatrudniłam u nas męża Carmen – oznajmiłam.

– Naprawdę? To super, przyda się. Rozmawiał już z koniem?

– Wierzysz w takie głupoty? – klepnęłam go w pupę. Podobał mi się patent Diego.

– Naprawdę? Spójrz.

Odwróciłam się, a koń obchodził Ryśka i Carmen jakby był szkolony w cyrku. Kłaniał się przed nim, grzebał w ziemi kopytem.

– Nie wierzę – wymamrotałam.

Carmen pomachała do nas ręką.

– Mówiłam! – krzyknęła – Rozmawia ze zwierzakami!

– Daj mu dodatkowe porcje cukru w kostkach, nich trzyma na zapas – uśmiechnęliśmy się do siebie. I poszliśmy jeść.

ODCINEK IV

Almodovar by się zdziwił

Wróciłam do telewizji, ale chęć poznania „brazylijskiej” kultury została. Oglądałam namiętnie swój serial o Manchego i czytałam dalej książki o miłości. Jakby nie było, zżyłam się z tym przez pół roku. Mateusz rozwijał się w zastraszającym tempie. Nie nadążałam. Zaczął pisać książkę, coś przebąkuje o własnym serialu. Wierzę w niego. Ale mam mnóstwo swoich spraw. Co raz bardziej lubiłam spędzać z nim czas. Ja czytałam, a on pisał.

– Czy te wszystkie Donie Ines muszą być takie piękne? Żadnego szurania kapciami, żadnych szlafroków. Galopują i galopują na tych koniach. Żadnych obowiązków. Mateusz, co robisz?

– Pracuję. Ktoś nie czyta, żeby czytać mógł ktoś. Piszę książkę.

– Następny bajarz. O czym?

– O nas. Jestem na pierwszej stronie od godziny.

– Dlatego taka cisza. Pytaj, jak czegoś nie wiesz, albo nie pamiętasz.

– Pamiętam. Nie wiem od czego zacząć.

– Zaczynij od dzieciństwa. Od pierwszego kroku.

– Ty dałaś pierwszy krok. Jak zapytałem jak masz na imię i kazałaś mi spadać.

– Jakoś jesteś od dwudziestu pięciu lat.

– No właśnie, jakoś. Nie pamiętam jak to się stało.

Faktycznie dwadzieścia pięć lat temu, leżałam na plaży w Mielnie, a on podszedł do mnie. Był miły, przystojny ale widocznie za mało męski, bo pokazałam mu środkowy palec.

– To nie pisz od początku. Napisz powieść o małżeństwie z dwudziestoletnim stażem, zażegnującym kryzys wspólnymi ćwiczeniami pilatesu. To będzie bardzo wzruszające i takie prawdziwe. Ludzie chcą czytać dobrą literaturę.

– Bardzo budująca tendencja – nie odrywał wzroku od swojego laptopa. A ja od swojego.

– Tym bardziej, że ma zbudować nasz dom na Mazurach.

– Ta literatura zbuduje również domy całego zarządu wydawnictwa – ta myśl go wzruszyła.

Był prezesem poważnej spółki. Ciekawym świata człowiekiem. Ukończyliśmy oboje polonistykę, więc uznaliśmy, że to jest właśnie ten moment, w którym powinniśmy wypełnić swoje przeznaczenie.

– Zacznę tak: była dziewicą, a ja byłem jej pierwszym. Łączy nas niewidzialna pępowina. Nikt i nic jej nie przetnie.

– Łączy nas również wspólne konto bankowe. Nie zapomnij się spisać.

– Zacznę od rodziców. Pamiętasz, jak twój ojciec nie zgodził się na nasz ślub, bo ogoliłem się jego żyletką? A moja matka spisywała przykazania dla ciebie. „Jak kochać Mateusza”. Do żadnego się nie zastosowałaś.

– Wybacz, ale siódme przykazanie twojej mamusi brzmiało: nie mieć żadnych tajemnic przede mną.

Zajrzałam mu przez ramię. Nie napisał ani jednego zdania. Gapił się w komputer. Literował i kasował. Wróciłam na tapczan. Leżałam i myślałam o swoim programie.

– Walczyliśmy i nie poddaliśmy się – spojrzał na mnie. – Odkrywam nowe siły. Piszę: Donia Ella wstała jak zwykle o świcie, by udać się na poranną przejażdżkę...

– Boże... – jęknęłam do siebie.

– Dostrzegła Manuela na dziedzińcu. Kochała go całym sercem i innymi organami. Po prostu życia poza nim nie widziała. Ale jego ojciec, Diego de la Vega, zapowiedział, że mają zapomnieć o sobie.

– Mateusz, zrób sobie kawy.

– Nie teraz. Zabłysła w nich iskra nadziei, która zmieniła się w płomień. Ela, a gdybyśmy lecieli samolotem i za chwilę miałyby być katastrofa. Co byś mi chciała powiedzieć najbardziej pikantnego z naszych przeżyć miłosnych – pochwalił się mądrością z filmu, który ostatnio oglądaliśmy razem. I chyba po prostu się już znudził. Zamknął komputer.

– Almodovar przed chwilą do mnie dzwonił.

– Almodovar?

– Już mówiłam kiedyś, ksywka naczelnego. Podobno też uczył się sztuki reportażu na pornosach.

– Czego chciał?

– Żebym zrobiła program o miłości.

– Ten twój naczelnny pewnie stał przed lustrem w stringach i pomyślał, że czas na zmiany. Jego pomysły na program o miłości, to dość ryzykowna wizja, bo co on wie o miłości? Dlatego zlecił to tobie. Moja ty wszechwiedząca – dosiadł się do mnie na tapczanik. – Pokaż co tam masz? – odpiął mi guzik od piżamy, w której chodziłam już pół dnia i nie miałam ochoty się przebierać. Było mi z tym dobrze. Dawno nie czułam takiego spokoju. – Jakbym le-

ciał tym samolotem, to ująłbym wszystko w jednym zdaniu: pierożki z kapustą. Pierożki to było powiedzenie Diego, tak nazywał biust swojej żony.

– Przestań świntuszyć. Pomyśl, jak można zrobić taki program.

– Trzeba sprzedać pomysł Kwiatkowskim. Diego będzie wiedział, co z tym zrobić. Namówimy ich na udział w tym projekcie. Konspekt napiszesz z mojego pomysłu na książkę.

– Napisałeś trzy zdania.

– To dopiszesz resztę.

– Oj tak. Życiorys naszego sąsiada, to jest dopiero materiał na scenariusz – wzięłam swojego laptopa i zaczęłam pisać konspekt.

Mati wyczuł, że to nie najlepszy moment na seks, więc wrócił na swoje miejsce. Patrzył na mnie i czułam, że rośnie w nas nowe uczucie.

*

Poszliśmy z pomysłem do Kwiatkowskich. Nie powiedzieliśmy o co chodzi, taki chwyt marketingowy, który dobrze znali, bo sami go stosowali.

– Cześć Diego, przyszliśmy z zawodową propozycją dla was – przywitałam się uroczo z naszymi sąsiadami.

– Długo podejmowaliście decyzję. Nareszcie! Gratuluję, że zdecydowaliście się na współpracę z Amwaj – dla niego każda propozycja to Amwaj.

– Nie, jeszcze Mateusz myśli. Chodzi o coś zupełnie innego. Chodzi o moje zawodowe sprawy.

Marcelina była zawsze dosyć konkretna, więc ze złośliwym uśmiechem spytała:

– Znowu wyrzucili cię z pracy, bo skończyłaś czterdziestkę. Mamy tutaj krem odmładzający. Drogi, ale skuteczny, przywraca dziesięć lat.

Odwzajemniłam się tym samym:

– Po dziesięciu latach używania.

Diego kochał swoją pracę, więc wypalił:

– Nie ufasz nam i naszym produktom.

Na to wszystko weszła Lilka z brązowym cukrem w kostkach.

– Kawa i brązowy cukier w kostkach. Nie ma w firmie innego...

Ta ich miłość do firmy, wiecie jakiej! To jakiś koszmar. Mati wtrącił.

– Wszystko już kupujecie w tej waszej firmie?

– Punktujemy bracie. Mówcie o co chodzi. Śmiało.

– Chodzi o to, że Ela musi zrobić reportaż – Mati rozpoczął naszą prezentację.

– O urodzie? – spytał Diego.

– Nie – byliśmy zgodni z Mateuszem. Wyrwaliśmy się z odpowiedzią w tym samym momencie.

– Co to za tajemnice? Damy radę, mówcie – z ciekawością parła Marcelina.

– O seksie – odrzekł Mateusz.

– O miłości! – poprawiłam go.

– O jakiej miłości? – spytał Diego.

– Do ludzi – kontynuowałam.

– Kocham ludzi – odparł Diego.

– Jak coś kupią – sprostowała Marcelina.

– No właśnie. Chodzi o to, że muszę pokazać różne odcienie miłości – musiałam się trochę wesprzeć.

– O, bracie. Dobrze trafiłaś. Kochamy wszystko i wszystkich. Naszą firmę, nasze...

Wyliczanka miłosnych odcieni ubodła troszkę panią domu i nie tylko.

- Już? Kocha się również kobiety i dzieci. Własne też.
- Ja kocham muzykę – wtrąciła się do rozmowy Lilka.
- Z wzajemnością Borzęckiego? – złośliwie zapytał Diego.
- Też kocha to co robi – Lilka postanowiła się nie dać.
- Ja zakochałem się w koniu – walnął bzdurę Mateusz.

– No właśnie. Mamy już kilka odcieni – wolałam, żeby mój mąż nie dokładał o swojej miłości do konia – Mamy też scenariusz naszego reportażu z waszym udziałem. Almodovar, mój naczelny, będzie zdziwiony efektem. Pracowałam całą noc i czułam przez skórę sukces tego przedsięwzięcia.

– Lilka, możesz być reżyserem?

– Z miłości do swojej pracy, mogę wyreżyserować ten filmik – wzięła do ręki scenariusz i zaczęła czytać, spoglądając na swojego padre.

– Króliczek pobiegł za Diego – zerknęła. – Jego różowa pupcia...

Diego wyrwał Lilce konspekt, bo chyba nie był zachwycony.

– Daj dziecko. Przeczytamy i oddzwonimy do państwa.

– Nie przeżywaj tatku. Żartuję. Posłuchaj: Diego Sanczes Vargas przybył do obcego kraju, wygnany przez ojca. Stawiając stopę na obcej ziemi uklęknął, ucałował i od razu pokochał. Co za kraj – pomyślał. Jakaś kobieta podeszła do niego, pomogła mu wstać i otarła jego łzy... Piękne. Ludziom się spodoba. Podejmuję wyzwanie. Będę miała co wpisać do CV. To co? Na kiedy?

– Na jutro? – odrzekłam.

– Jak na jutro? A próby? – Kwiatkowscy wyraźnie przestraszyli się wyzwania. Marcelina wstała i w dziwny sposób zbierała zastawę ze stołu. Co zabrała, to postawiła z powrotem.

– No nie wiem – Diego westchnął, wstał i zbierali razem.

– Po co powtarzać coś, co się zdarzyło naprawdę. Przeczytajcie scena-

riusz i już – chciałam mieć to z głowy.

– I już?! – krzyknął Diego.

– Damy radę – wstałam i ruszyłam do drzwi.

– Zostawiamy was – dziarsko wstał Mati. Reagowaliśmy szybko, bo nie chcieliśmy, żeby się rozmyślili. Żegnaliśmy się z naszymi aktorami i naprawdę liczyłam na sukces.

– Almodovar się zdziwi – ucałowałam Marcelinę.

– Rany, Almodovar? – Marcelina jednak dała radę. Zrozumiała.

– Ksywka naczelnego. Urocze. Adios.

Zostawiliśmy ich z tematem, ale wiedziałam, że Diego tej nocy spać dobrze nie będzie. Mogę to sobie wyobrazić. Kwiatkowska w kąpielni, Bąbel przelicza dinero i szampony:

– Mogłem być kim chciałem: dentystą, aktorem. Musiała podnieść mnie na tym lotnisku właśnie ona? Tyle zakątków, tyle pięknych kobiet.

– Włącz jakąś muzyczkę! – krzyknęła spod prysznic Marcelina.

– Po co to wszystko? – Bąbel przeliczał i burczał pod nosem.

– Włącz Diego! Może być ta twoja salsa czy coś!

– Czy coś! Karamba. Ojciec miał rację. Trzeba się było związać z Juanitą. Przynajmniej wiedziała o czym mówię, jak mówię salsa. Znała moje potrzeby. Te tatuaże trochę ją szpeciły, ale przynajmniej miała temperament.

– Podrzucić mi nowy szampon! Zapisz, że wyjąłeś i zapłać. Pieniądze wrzuć do kasetki. Weź dwa, drugi dla Lilki. Jutro są jej urodziny. Zrobimy jej niespodziankę.

– Takie niespodzianki, to ona ma od pięciu lat. Szampon albo mydło w prezencie – mówił do siebie.

– Mowę ci odjęło? Włącz coś. Zaraz wychodzę.

– Mogłaby się poślizgnąć na mydle. Ciekawe jak zagra jutro sceny miło-

sne. Powinni zatrudnić kogoś innego.

Kwiatkowska weszła okręcona ręcznikiem i stanęła przed Bąblem.

– Rany! Przestraszyłaś mnie. Czemu nie masz nic na sobie, zimno tu, ja-koś.

– Mówiłam, włącz coś.

– Zajęty byłem pisaniem.

– Mam nadzieję, że pisałeś firmowym długopisem. Wprowadzili też wkłady.

– Chciałbym mieć takie pomysły.

– To wymyśl coś, bo hiszpańskiej muchy jeszcze nie mają. Kwiatkowska zrzuciła ręcznik. Diego spojrział na swój brzuch. Porównał go z umięśnionym kaloryferem Marceliny i zmienił zdanie. Zapomniał o tatuażach „kubańskiej masakry”.

*

Była niedziela. Dzień nagrania mojego reportażu. Nie mogłam spać, więc wyglądałam średnio. Mateusz nie wiedział w co się ubrać. Czy założyć krawat i stringi do tego, czy t-shirt i soczewki. Pogubił się. Tak jest w każdą niedzielę, kiedy nie idzie do tej swojej firmy. Podjechała ekipa filmowa od Almodovara. Zawodowi goście. Wzięliśmy scenariusz i do dzieła.

– Mateusz, kopnij mnie w tyłek.

– Za co?

– Nie za coś. Tylko na szczęście.

– Mocno?

– Mocno średnio. To kopniak na szczęście.

– Aha. Oczywiście kopnął z grubej rury. Ale nie jęknęłam. Drzwi u Kwiatkowskich otworzyła Lilka. Też wyglądała mocno średnio.

– Jest niedziela. Rodzice jeszcze śpią.

Wiedziałam, że tak będzie. Zapomnieli o nagraniu. Musiałam jej przypomnieć cel naszej porannej wizyty.

– To najlepszy moment, żeby nakręcić kilka scen – powiedziałam szeptem, żeby się nie narazić.

– No dobrze. Obudzę ich.

Biegłam przodem, nie wiedząc po co, bo cała reszta się nie spieszyła. Lilka szurając kapciami w piżamie szła po schodach, żeby obudzić moich głównych bohaterów, moje gwizdy.

– Tatku, śpicie?

– Co tam córeńko, boisz się ciemności? Połóż się z nami. Marcelinko, posuń się.

– Tatku. Zaczynamy.

– Co zaczynamy?

– Kręcić film.

Pierwszy wszedł do ich sypialni kamerzysta, potem długi na pół pokoju mikrofon. Almodovar byłby zachwycony. Zarządzałam, byłam w swoim żywiole.

– Dzień dobry kochani. Nie wstawajcie. Liliana jaki masz pomysł na scenę?

– Tato – ty leżysz. Mama poda ci na tacy śniadanie. Zdrowa żywność, rozumiesz. Banany i marchew.

– Po co marchew? – Diego nie był zachwycony.

– To truskawki i szampan – sprostowała Lilka.

– I banany. Lubię zdrową żywność. Na Kubie jest kilka odmian, nie to co tu – dodał Diego, narzucając na siebie kołdrę. Cerę miał zdrową. Owoce mu służyły.

– Tato skup się. Mama w skąpej piżamie. Włos rozwiany, jakbyście byli

po. No wiesz po czym. Mama wleje szampan i włoży ci truskawkę w usta. Mamo, pocałujesz tatę i delikatnie otrzesz mięższ. Tato, złapiesz mamę za dłonie, przyciągniesz do siebie, powiesz: „Całe życie czekałem na ten jeden moment”.

Nasz sąsiad uśmiechnął się do siebie i jakby ożywił, wyjął spod poduszki firmowy balsam, czy coś. Boże, nawet spał z tymi produktami. Wyjął reklamówkę i podał swojej córce.

– Zróbcie zbliżenie na balsam, podaj Liluś. Wyjmij. Będę mamę nacierał. Zróbmy od razu promocję. Balsam do ciała podaj, ten jest do włosów. Odstaw ten, podaj tamten.

– Świetny pomysł z tym nacieraniem. Tato, nacieraj jej dłonie. Delikatniej. No i mów do niej.

– Ale co?

– Tato, ty już wiesz co. Śmiało – dopingowała aktorów młoda pani reżyser.

– Mi amor, tak dawno nie jadłem truskawek, a bardzo lubię zdrową żywność. Pora nie jest na truskawki. Drogie były, prawda? Kocham twoją skórę, mógłbym ją nacierać godzinami. Lilka podała następny specyfik. Diego zagrywał się po „brazylijsku”. Superprodukcja. – Całe życie czekałem na ten moment. Musimy się spieszyć.

– Tato, teraz usłyszysz tętent konia.

– Ciii. Słyszę tętent konia – podekscytowany szepnął Diego.

Podjechał mój Mati na koniu, który nie kochał naszego sąsiada.

– Stop! – przerwałam scenę. – Pięknie! Mateusz podjechał. Scena z koniem. Wy zostańcie. Dokończcie truskawki. Liliana masz scenę z koniem?

– Tak.

– Nie mamy już truskawek – mówiła Lilka jedząc ostatnią.

– Nie szkodzi.

Kontynuowała swoją reżyserię. Zeszliśmy na dół. Mateuszkowi troszkę się trzęsły rączki i „kopytka”.

– Koń coś umie, panie Mateuszu? – spytała pani reżyser.

– Kłania się jednym kopytem.

– Podajcie siano i szczotkę. Będzie go pan szczotkował. Potem poda mu pan siano, jak kobiecie truskawki – tłumaczyła Lilka oparta o konia – Delikatnie. Pocałuje pan konia w szyję. Koń musi zarzeć.

– I podziękować kopytem. Dobrze to ogarniam?

– Tak. Akcja! Mateusz szczotkował i całował zwierzaka w szyję, ale koń ani drgnął.

Gestykulowałam w jego stronę. Chciałam dać do zrozumienia, że to koń. On musi poczuć taką namiętność. Musiałam mu to uświadomić, więc podeszłam do niego.

– Mateusz, zwierzak nie czuje twojej czułości. Z uczuściem bracie, z uczuściem.

– Bez sensu – odburknął.

– To się robi tak, mistrzuniu.

Głaskałam konika i szeptałam mu do ucha zakłęcia z wyznaniem miłości
– No maleńki, ukłoń się. Kocham cię.

– Co teraz? – zapytał Mati.

– Trzeba kupić drugiego konia, który pokocha ciebie.

– Jest twój.

Wróciliśmy do pomieszczeń. Trzeba było zrobić ostatnią scenę, która według scenariusza miała dotyczyć pierwszego pocałunku i zauroczenia. Lilka wymyśliła, że zagra sama z Borzęckim. Muzyk siedział rozparty w fotelu, jedna noga założona na drugą, jakieś żelastwo na paluchu, że niby sygnet. Loki na głowie, pachnidło Kwiatkowskich czuło się od progu i ta biel zębów.

A tu nie wiem, czy pasta do zębów była ich. Jeśli tak, to polecam.

– Dziękuję, że pan przyszedł. Ja włączę nastrojową muzykę. Pan będzie trzymał chipsy na kolanach i jadł – Lilka podała chipsy, delikatnie nachylając się na muzykiem.

Musiała odpiąć wcześniej jeden guzik, bo było widać kontur jej piersi. Muzyk patrzył i rozszerzyło mu się oko.

– Nie przełknę, przyjechałem prosto z eventu.

– Musi pan. Ja zacznę przed panem tańczyć. Pan wstanie, zdejmie ze mnie bluzkę i pocałuje...

Czar prysł. Jak burza wpadł Diego, który mocno średnio kochał Borzęckiego.

– Stop! Przerwywamy nagranie. Ja też kocham muzykę, chipsy przełknę, a ta scena nie musi być rozbierana. Zagrasz miłość do swojego taty.

Bąbel był uroczy i tak zazdrosny o swoje kobiety, że o tym trzeba napisać w kolejnym odcinku.

*

Miesiąc później siedzieliśmy z Mateuszem przed telewizorem i oglądaliśmy relację, którą nagrała Carmen z rozdania polskich Oskarów.

A najlepszym reportażem roku został reportaż ALMODOVAR BY SIĘ ZDZIWIŁ! Gratulemy! Weszłam na scenę, wyglądałam pięknie i pięknie mówiłam. Jak na polską galę...

– Dziękuję moim przyjaciółom za wsparcie: Mateuszowi za konia, Liliannie za reżyserię i jej matce za udostępnienie mieszkania. Dziękuję bardzo. Almodovar by się zdziwił, że kocham was wszystkich.

To, co się zdarzyło potem, przerosło moje oczekiwania. Podszedł do nas znany wydawca książek.

– Gratuluję pani Elu. Piękny reportaż. Mogę zapytać czy napisałaby pani dla naszego wydawcy równie piękną powieść o miłości?

– Mam taka powieść, praktycznie gotową.

– Proszę mi ją przesłać.

Po rozdaniu nagród Mateusz oszalał. Wysłaliśmy jego konspekt na książkę. Łaził, sapał i czekał na telefon od wydawcy.

– Przestań łazić. Zadzwoń – musiałam go uspokajać.

– Paparazzi, celebryci, to dla mnie. Zadzwoń kolego – szczyptał się w policzki i oczywiście przebierał nóżkami.

– Zadzwoń. Usiądź. No i nadszedł upragniony sukces. O czym poinformowała nas nasza ukochana Carmen.

– Jakiś pan dzwoni. Znowu pani coś wygrała. Kupiła pani zdrapkę?

– Odebrałam telefon

– Halo? Tak się cieszę. Świetne. Dziękuję. Pozdrawiam pana również z całego serca.

– Elka! Wygraliśmy? – wyrwał się Mateusz. Trzymałam go w niepewności.

– Elka, odmienimy nasz los? No mów!

– Pewnie! – krzyknęłam z radości.

– Dużo kupiliście tych losów? – z niedowierzaniem, zapytała Carmen.

– Chcesz podwyżkę? – odpowiedział Mati.

– Kocham pana – sapnęła z czułością Carmen, bo nie wiedziała o co chodzi.

– Widzisz Ela? Widzisz! Sama widzisz! – gadał ze szczęścia głupotki, mój bohater.

Wierzyłam, że mu się uda. Zawsze miał dar do pisania. Poznaliśmy się na studiach. Napisał mi pracę magisterską. Pomógł napisać, żeby nie było. Miał talent. I to cała filozofia tego sukcesu.

ODCINEK V

Feng-shui, couching i takie tam

Diego jest zaborczy i absolutnie zazdrosny o swoje piękne kobiety: żonę Marcelinę i córkę – Lilianę. Kwiatkowska jest naprawdę świetną dystrybutor-
ką tych swoich mydeł i pachnideł. Zaszła bardzo wysoko. Jest couchem, tre-
nerem programowania neurolingwistycznego i bardzo dobrym handlowcem.
Diego jest równie świetny, ale mniej ambitny. Woli przeliczać dinero i mydła,
niż szkolić podopiecznych.

– Mógłbyś się trochę zniżyć, jak przechodzisz koło telewizora. Majte
właśnie opuszcza Manchego.

– Opuszcza, bo nie kocha – odparł Diego

– Od pierwszego odcinka nie kocha. Można to było przewidzieć.

Wyciągnął ze skórzanej walizki szampony i sięgnął ręką głębiej.

– Co to za mydło? Nie nasze!

– Oglądam. Nie przeszkadzaj. Nasze. Nastąpiła zmiana. Ludzie wolą
mydło w kostkach. Według ankiet oczywiście. Mniejsze i tańsze.

– Tańsze, bo mniejsze. Schodzą na psy. Cały zeszyt klientów, a dochody przez mydło średnie. Każą kochać tych ludzi i nowe mydło. A kto nas kocha?

– Ja cię kocham, Bąbelku.

– To pokaż, co tam masz. Pierożki z kapustą – położył delikatnie mydła na stole i równie delikatnie dotknął Marcelinę.

– Oglądam – Marcelina odepchnęła rękę męża z piersi. – Drażni mnie to powiedzenie. Pierożki. Jakie pierożki?

– Okrągłe, wypełnione kapustą.

– A grzyby? – patrzyli oboje na siebie nawet nie mrugając powiekami.

– Jakie grzyby?

– Diego miał na myśli tylko piersi, więc zupełnie nie wiedział, co to za pytanie.

– W kapuście świąteczne danie. Jak nasz seks.

– Wiesz Marcelina, mogłabyś nie przesadzać.

– Spójrz, zerknij, jak wygląda namiętność.

– Przecież to głupi serial. Chyba nie chcesz powiedzieć, że oglądasz takie pierdoły, bo ci brakuje seksu – odwrócił od niej głowę, bo rozmowa zeszła na niebezpieczne tory.

– Diego, mogłabym mieć każdego, gdybym tylko chciała.

– Ja też mogłem mieć każdą zanim się z tobą ożeniłem.

Już nie patrzyli na siebie. Manchego właśnie został opuszczony przez Majte. Siedział i płakał.

– Mówisz o tej masakrze w tatuażach? – Marcelina chlipała razem ze swoim serialowym bohaterem.

– Ja ci twoich kochanków nie wyliczam!

– Nie wyliczasz, bo nie znasz – wycierała nos i sięgnęła po kolejną chus-

teczkę.

– Jak to nie znam? Masz kogoś?

– Przecież mówię, że cię Kocham Bąbel.

– Nie jestem od dzisiaj żadnym Bąblem!

– Jak sobie życzysz – wzięła w garść zasmarkane chusteczki i ostatni raz wypróżniła nos.

Kwiatkowska wyłączyła telewizor i wyszła do drugiego pokoju, zostawiając otwarte drzwi. Diego wyjął mydła i przeliczał, a Marcelina stanęła przed lustrem i ćwiczyła autoprezentację. Cokolwiek to znaczy. Rozłożyła książki, ulotki, produkty i zaczęła się jej mowa ciała. Stała przed lustrem, przemawiała i gestykulowała. Diego zerkał i obgryzał paznokcie. Kochał ją do szaleństwa. Marcelina podnosiła głos, prężyła się, odpięła jeden guzik, potem drugi, mówiąc na głos, że brak w tym domu klimatyzacji. A on patrzył i obgryzał. Lustro stało przodem do drzwi. Na dół zeszła Lilka, zdjęła z wieszaka kurtkę, otworzyła drzwi, a za nimi stał Borzęcki. Pomachały do siebie z czułością, muzyk przesłał Marcelinie buziaka. A więc stało się. Kwiatkowska ukrywała przed mężem spotkania Lilki z „chipsymenem”. Diego ukradkiem stanął za Marceliną, przyglądał się jej, pogładził włosy i doskoczył. Objął ją, pieścił, całował.

– Marcelinko, kwiatuszku, moja ty Bąbeluniu.

– Diego, mam jutro trudny egzamin z przemawiania publicznego. Proszę, nie teraz.

– Przemów do mnie Marcelinko – był coraz bardziej podniecony.

– Mieliśmy na to całą noc. I parę nocy przed. Prosiłam, przytul się, pieściłam równie namiętnie. I co? Tylko w święto Bożego Narodzenia?

– Liczyłem do nocy dinero. Byłem padnięty, ale teraz sama widzisz: Almodovar by się dziwił.

– Nie. Idę do Eli. Mam do niej sprawę.

- Nie bądź taka, pięć minut.
- O nie, w pięć minut przyrządź chińskie danie, a nie pierożki z kapustą.
- Marcelinko, nie zostawisz mnie chyba teraz. Marcelina zdjęła kurtkę z wieszaka i wcale nie miała zamiaru mu współczuć.
- Zostawię. Jak cię znam, to za pięć minut ci przejdzie.
- A kto posprząta ten bałagan?! – chyba nie wytrzymał ciśnienia.
- Posprzątam, jak wrócę. Nic się nie dzieje. Lilka wyszła, a ty uważaj, żeby czegoś nie nadepnąć.

– Pyskujesz! Ty i ona. Macie mnie za nic! Tylko wykładam na was...

Kwiatkowska trzasnęła drzwiami.

– Dinero! Karamba! – krzyknął za nią.

Stanął przed lustrem. Zrobił swoją własną autoprezentację.

– Ja was nauczę porządku. Jedną i drugą! Płacę za wszystko za szkoły, pierdoły, musicale, kremy. Niech tylko któraś wróci. Nauczę. Szacunku. Spojrzał w lustro, wiecie na co, i chyba spodobał mu się ten widok.

– Nie głupi!

Rozpiął górę od piżamy i spojrzał na „klatę”.

– Tu, zrobię tatuaż taki, jaki miała Juanita. Rozumiała moje potrzeby. A ojciec zawsze mi powtarzał: „Synu, spójrz w niebo, kobieta jest jak kosmos – nie ogarniesz”. Miał rację. Posprzątam, robię to po raz ostatni.

W zeszłą niedzielę też było po raz ostatni.

*

Marcelinie otworzył Mateusz.

– Już jesteś? Szybko. Wejdz, Ela ćwiczy w pokoju. Chodź, zaraz jej powiem, że jesteś.

– Nie przerywaj jej, mogę przyjść później.

– Przestań. Coś się stało?

– Oj tam...

– Ok, zrozumiałem, babskie sprawy. Zapraszam. W takim razie ja was zostawię.

– Dzięki, Mateusz.

Miałam słuchawki na uszach, więc nie słyszałam jak weszła. Robiłam którąś tam asanę.

– Przestraszyłaś mnie.

– Przepraszam. Nieźle ci już idzie.

– Mam niezłych mistrzów.

– Właśnie. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale też jesteś dla mnie mistrzem w paru życiowych sprawach. Na przykład w przemówieniach publicznych. Dlatego jestem. Jutro mam egzamin w firmie. Chciałabym, żebyś sprawdziła moją mowę ciała, czasami mam z tym problem. Jak mówię Diego nie – on odczytuje to jako tak. Cała reszta też to robi.

– Problem z seksualnością?

– Nie, z odczytywaniem sygnałów.

Nie wiedziałam, co do mnie mówi, ale domyśliłam się, że miała niezłego doła.

– Dobrze, rozumiem. Przemawianie nie jest niczym trudnym.

Wiedziałam, że nie o przemawianie chodzi. Kwiatkowska zajmowała się rozwojem osobistym. Wiecie, coaching i takie tam. Rozwój jest jej celem w życiu, więc zatarła się w niej prawdziwa ocena rzeczywistości. Miała z tym ewidentnie problem. Programowanie neurolingwistyczne programowało jej podświadomość, ale rzeczywistość programowała okoliczności, które czasami ją przerastały. Mam pełno pozytywnych książek: „Co dajesz wraca”, „Jak skończysz czterdziestkę, to cię uśpią”, „Kochaj życie, a życie pokocha ciebie”. Też miałam z tym problem. Afirmowałam, zakładałam różowe okulary,

myślałam, że pokonam wszystkie trudności. Też przez jakiś czas bezmyślnie się nakręcałam. Kwiatkowska przeżywała właśnie to samo. Kryzys osobowości. Korporacja sprawiła, że rozwijała się tylko na pewnych obszarach. Marcelina nie dopuszczała negatywnych myśli i emocji. Wszystko w jej głowie było kolorowe, barwne i przejawskrawione. Nie wiedziałam, jak zmienić jej przekonania. Wiem, że w couchingu nazywa się to „tajną terapią”, więc utajniłam wszystko co o niej wiem i zaczęłam tak:

– Marcelinko, spójrz na mnie. Ty nie potrzebujesz wsparcia, bo o przemawianiu wszystko wiesz. Widziałam twoją prezentację. Ty potrzebujesz miłości. Jesteś tu setny raz, a zawsze dajesz sygnał, że Diego nie daje ci tego, czego potrzebujesz.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem. Powinnaś przyciągnąć do swojego życia miłość.

– Jak to przyciągnąć?

– Nie będę się mądrzyć, bo każdy ma swoją teorię. Odkąd przewiesiłam swoje feng-shui wszystko się zmieniło.

– Aha, chcę mieć swoje feng-shui – i zaczęła płakać.

Przeglądałyśmy katalogi firm ezoterycznych i dopasowywałyśmy gadżet dla Kwiatkowskiej.

– To jest ewidentnie dla mnie – spojrzała na gustowny gadżecik w katalogu i wiedziałam, że będzie go mieć. Miał przyciągnąć miłość.

Kwiatkowska wstała, podziękowała i pojechała do sklepu ezoterycznego.

*

Diego w pizamie nie przerywał przemawiania, podniósł w tym czasie z ziemi dwie książki. Siedział w fotelu i oglądał serial. Kwiatkowska weszła do mieszkania z wielkim, pięknie zapakowanym pudłem. Zaznaczyła kierunki i postawiła feng-shui w rogu przedpokoju. Poszła na górę. Diego siedział, spoglądał w pewnym momencie zerwał się i posprzątał wszystko z podłogi.

Wpadł do kuchni, wyjął jedzenie i zaczął gotować obiad. Nigdy wcześniej tego nie robił. Śpiewał, gwizdał, posmarował włosy żelem. Kiedy skończył, po cichutku z czułością zawołał:

– Marcelinko, kochanie obiad postawiłem na stole.

Sam nie wierzył w to, co mówi, więc zawołał nieco głośniej.

– Marcelinko!

– Słucham. – odburknęła Kwiatkowska.

– Kochanie przygotowałem obiad.

– Pierożki z kapustą czy chińska zupa?

– Zejdź kochanie. Zapraszam.

– Ach, jak grzecznie zapraszasz, to za chwilę zejdem.

– Gracias, mio amor. Diego zdążył jeszcze postawić kwiaty na stole.

– Coś ci jest, Diego? – spytała Marcelina.

Diego pocałował żonę w rękę i gestem otwartości zaprosił ją do stołu. Usiadła. Można było się zaniepokoić.

– Marcelinko, kochanie, jak minął dzień? – nałożył serwetkę na kolana, a drugą czyścił łyżkę.

– Dziękuję, fantastycznie. A tobie? – Marcelina wzięła swoją serwetkę i spojrzała na męża. Odłożyła ją na stół.

– Dziękuję. Po twoim wyjściu, dużo myślałem o nas, o mnie. O tym, że cię zaniedbuję, że jestem nieczuły, niemiły i...– nałożył czarna fasolę na łyżkę.

– I jakiś tam jeszcze. Bąbel, perdona. Pytam: co ci jest? Czy po tym obiedzie będziesz czegoś żądał? Umycia samochodu? Przeliczenia szampounów? Czy zażyczysz sobie pierożki z kapustą?

– Kocham cię – położył łyżkę na stole i dotknął jej twarzy.

- Dlatego obgryzłeś paznokcie? Jak to wygląda?
- Kocham cię, nigdy nie przestałem.
- Diego, żarty na bok.
- Nie żartuję. Kocham.
- Bąbel, proszę cię. Jedźmy. – spojrzała na niego – Naprawdę?

Zbliżyli swoje usta. Ale niestety, do pocałunku nie doszło. W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi. Diego zajrzał przez wizjer, otworzył.

- Witam, pan do kogo?

Nieznajomy mężczyzna był biznesmen zaczynającym pracę w ich firmie. Wyglądał zabójczo. Przedstawił się i wszedł. Marcelina wstała i szła w jego kierunku.

– O, witam panie Jacku. Zapraszam, dobrze pan trafił, właśnie skończyliśmy obiad.

– Witam pani Marcelino. Dziękuję, że pozwoliła pani na to spotkanie. Uroczy dom. Z klimatem.

- Dziękuję. Czekałam na pana.

Bąbel stał nazelowany, z kwiatem w butonierce, blisko nowego posążka, próbował coś powiedzieć, ale nikt go nie słyszał. Usiadł po cichutku w fotelu i już nie miał co obgryzać. Po prostu słuchał. Pan Jacek przyszedł po nauki do swojej promotorki. Śmiali się, żartowali, przemawiali do siebie gestami i mową ciała, która wskazywała na to, że się bardzo lubią.

- Diego? Gdzie są firmowe długopisy, podpiszę z Jackiem umowę.

Nawet nie wiedział, kiedy przeszli na ty. Wskazał palcem na skórzaną walizkę. Otworzyły się drzwi. Do przedpokoju weszła Lilka z Borzęckim.

– Mamo, przyszedłam z panem Borzęckim na obiad. Czujemy się zaproszeni.

- Tatuś wszystko przygotował. Wejdźcie do kuchni. Jestem teraz zajęta.

Diego pomalutku wstał. Przeszedł koło lustra, cofnął się, spojrzął, a w lustrze nie było jego odbicia. Tak mu się przynajmniej zdawało. Próbował coś powiedzieć, ale nikt go nie słyszał i nie reagował na jego obecność. Wszedł do kuchni, stanął, a Lilka z Borzęckim spożywali jego posiłek. Borzęcki pocałował Lilkę w rękę. Śmiali się. Wycofał się. W przedpokoju Marcelina, żegnała pana Jacka, pocałowała go. Diego nieświadomie oparł rękę o nowy gadżet w przedpokoju. Zobaczył światło i swojego ojca, który mieszkał przecież na Kubie.

– Ojczy, przyszedłeś po mnie? – wyszeptał po hiszpańsku.

– Nie, synu. Ogarnij się, to nie one są z kosmosu, to ty jesteś, kurde, kosmitą.

– Gracias padre – w tym momencie światło znikło – Padre?

*

Kwiatkowska stała przed nim i machała wystraszona.

– Halo, co ci jest?

– Nie wiem, dziwnie się czuję – odparł Diego i usiadł na sofie.

– Słuchaj, od jutra zaczynam szkolenia. Będzie pięćdziesiąt osób. Dlatego jestem taka...

– Kocham cię i nigdy nie przestałem – powtórzył bezmyślnie.

– Mówiłeś to już.

– Lilka kocha Borzęckiego? – spytał.

– Nie, nie kocha. Robią razem projekt.

– A jakby kochała? – patrzył w jeden punkt.

– Przecież to muzyk sesyjny, który nie przełknie chipsa, bo ma za chudo w szyi.

– A jakby kochała? – powtórzył pytanie i spojrzął na Marcelę.

– Hmm, pewnie byś go nie zaakceptował. Byłbyś rozczarowany. Czyż

nie?

- Chciałbym, żeby była po prostu szczęśliwa.
- To pozwól jej spotykać się z kim chce.
- A jeżeli to taki Omerio Manchego, który kocha kiedy chce i kogo chce?
- To jej życie.

Do pokoju wszedł Borzęcki z Lilką. Muzyk poprawił krawat i skierował się w kierunku Diego.

– Senior Diego. Dziękuję, że pozwolił mi pan na wspólny posiłek z pana córką. Dziękuję, że został pan producentem. Napisałem dla pana piosenkę, którą Liliana zaśpiewa w spektaklu.

– Dziękuję młody człowieku. Jesteś bardzo miły. Usiądź z nami, Liluś ty też.

Lilka z Borzęckim usiedli po dwóch stronach ojca. Diego odwrócił się najpierw w jej stronę, potem w stronę muzyka. Borzęcki położył głowę na jego ramieniu. Padre przybliżył do niego twarz i powiedział.

– Szampon, którego pan używa nie nasz, prawda? Nie czuję zapachu. Liluś, przygotuj w prezencie dwa, dla naszego miłego gościa. I dezodorant, też dwa. Zapisz wszystko w kajecie, potem zapłacę. Kocham was dzieciaki – pocałował Borzęckiego w czoło i łza spłynęła po jego ojcowskim licu.

ODCINEK VI

Casting

Diego, faktycznie wyłożył dinero na musical. Wpadł do nas podekscytowany, bo wymyślił casting na role. Mateusz miał mu w tym pomóc. Oczywiście większość ról, to role kobiece. Wolałam być przy tej rozmowie.

– Mateusz, bracie – zaczął Diego – ma się pojawić ta znana gwiazda. Tu kurde, zobacz – wyjął zdjęcie.

– Ta? – zapytał nieco zniesmaczony Mateusz – Widziałem ładniejsze.

– To nie o to bracie chodzi, że ładniejsze. Ma śpiewać, bracie. Ten spektakl ma dostać Gramę.

– Grammy, Diego – poprawiłam naszego sąsiada.

– Jakaś nagroda by się przydała. Zobacz, tu jeszcze inne piosenkarki – spojrzał na mnie.

– A ta, co ma na sobie? Tylko bieliznę? – spytał Mati.

– Pokaż, bracie. To Marceliny. Jakaś firma wysyłkowa, czy coś.

– No dobrze, to kiedy ten casting? – zapytałam, bo nie chciałam przedłużyć ich niezdrowych ekscytacji.

– Jutro, osiemnasta. Pasuje? Mateusz?

– Pasuje – odpowiedziałam za Mateusza.

Carmen wniosła herbaty i wiedziałam, że znowu podsłuchiwała.

– Panie Diego – zaczęła – Ja i Rysiu, tańczymy flamenco – zawstydzona czekała na naszą reakcję.

– O! Takie pach-pach – odpowiedział Diego – Wolę salsę, ale flamenco też może być.

– Pani Elu, możemy spróbować? – Carmen skierowała pytanie do mnie, ale patrzyła na Mateusza, któremu właśnie opadła szczeka. Chyba wyobrażał sobie falujący biust naszej służącej, przy kolejnym skoku z Ryśkiem. Ja od razu to zobaczyłam.

– Tak, jasne. Idźcie – nie wiedziałam co powiedzieć, bo średnio wierzyłam w umiejętności taneczne, zwłaszcza Rysia.

– Dziękuję, nie zawiedziemy – dygnęła i wyszła.

– No dobra, to do jutra – pożegnał się z nami sąsiad i tanecznym krokiem, posuwicie podążył do wyjścia.

Zostaliśmy w końcu sami. Patrzyliśmy na siebie. Zaczął Mati.

– Elka, zamykaj drzwi. Włączamy jakąś muzyczkę. Może być flamenco, czy coś.

Zamknęliśmy drzwi od kuchni na klucz, papier w dziurce już był, gdyby Carmen miała ochotę nas na czymś przyłapać. Rozłożyłam wachlarz i zdjęłam garderobę. Mateusz wyjął z szafy sombrero, prezent od naszego kubańczyka i daliśmy czadu.

Polecam.

Donia Ela.

*

Zbliżał się czas castingu. Po wczorajszym, upojnym popołudniu, Mate-

usz nawet się nie spieszył.

– Ela, nie chce mi się. Nie wiem w co mam się ubrać. Zostańmy w domu. Pooglądajmy telewizję.

– Chodź. Obiecaliśmy. Po za tym, taki casting rozwija. Nie patrz tak, umysł rozwija – lubiłam takie wyzwania i nie miałam zamiaru rezygnować.

– Zawsze znajdziesz terapeutyczne wytłumaczenie. Nie męczy cię to? Kazałem ci kiedyś czytać te pozytywne pierdoły, ale dzisiaj zabraniam. Masz za dużo w sobie pozytywnej energii. To mnie rozprasza.

*

Carmen i Rysia nie było już w domu, czekali w kolejce w przedpokoju producenta. Kilka osób się pojawiło. Nie widziałam żadnej gwiazdy ze świata artystycznego. Może i lepiej, zaoszczędzą dinero. Taki Rysiu, jakby się dostał dużo by nie wziął. Carmen, pewnie też. Ale przedsięwzięcie było spore, więc wiele kasy na to pójdzie. Zobaczymy. Gospodarze, a i owszem, wyglądali pięknie. Bąbel – stara, skórzana marynara. Marcelina – biznesowa, jak zwykle. Ale rządziła Liluś. Widać było, że ma pojęcie i doświadczenie. Na drzwiach widniała kolejność wejść. Carmen nie widziałam na liście. A nie, przecież ona z domu Marysia. Przejechałam palcem po liście. Jest! Przywitaliśmy się, uzgodniliśmy szczegóły oceny prezentacji, Diego został mianowany przewodniczącym i Lilka zarządziła pierwsze wejście.

Początek przypominał program „Mam Talent”. Nikt się nie nadawał, więc piliśmy dużo herbaty i cmokaliśmy. Rozmawialiśmy o markach telefonów i zegarków, bo za bardzo nie było o czym. No i stał się cud. Weszła piękna, ciemnoskóra dziewczyna. Pierwszy nie wytrzymał Borzęcki, potem nerwy puściły Diego, bo przecierał pot z czoła chusteczką, którą mu podała Marcelina. Mateusz udawał, że go to nie rusza. Śpiewała pięknie, była urocza i przełamała złą passę. Po niej weszło równie utalentowanych sześć osób. Przeszli casting. Lilka poprosiła kolejne osoby z listy: Marysię i Rysia.

To był moi drodzy szczyt pozytywnych uniesień. Tańczyli flamenco tak, że opadła mi szczeka. Kiedy skończyli wstałam, płakałam i krzyczałam: bra-

wo! Mateusz kopnął mnie w kostkę. Zasłonił twarz rękoma i powiedział: – Ogarnij się kobieto. Oczywiście przeszli dalej, co sprawiło, że miałam coraz lepszy humor. W drzwiach pojawiła się jednak znana gwiazda. Oczywiście spóźniona. Wszystko miała na wierzchu: biust, skórzana, kusa spódniczka zasłaniała ledwo pachwinki. Wytatuowany wąż na lewej ręce, na prawej krzyż celtycki. To nas rozpraszało. Mówię o damskiej części jury. Marcelina zdjęła swoją marynarkę. Cholera pod spodem miała coś, co sprawiło, że jej biust wyglądał tak imponująco, że żadna gwiazda, nie mogła się z tym równać. Była przygotowana na taki cyrk.

– No, no – skomentował Mateusz.

– Marcelinko, czy pani może zacząć? – spytał przewodniczący. Był wy-ciszony i wpatrzony w biust swojej żony.

– Oczywiście. Prosimy. Co pani zaśpiewa? – zapytała Marcelina.

– „Besame mucho”. I proszę o profesjonalny podkład.

„Besame mucho” kłóciło się z jej fizis. Ale pojechała jazzem, na najwyższym poziomie. Tym razem Lilka wstała, płakała i biła brawo. Ale jej nikt nie uspokajał. Byliśmy długo pod wrażeniem profesjonalizmu znanej gwiazdy. Diego poprosił panią do siebie.

– To był majstersztyk – wyznał.

– Tak, dziękuję – i to było wszystko, co było pozytywne w jej wykonaniu. Przeszła do rzeczy. – Poproszę o umowę i moja propozycja współpracy jest następująca...

Rany! Zażyczyła sobie osobną garderobę, catering w trakcie spektakli i dodatkowy kaloryfer zimą. Jej stawka to była miesięczna pensja mojego Mateusza. Diego spojrział na biust Marceliny:

– Dziękuję, oddzwonimy do pani – odrzekł i zarządził koniec castingu. Brakowało tylko jednej osoby, cała obsada praktycznie już była.

– Co robimy? – spytała Lilka – Brakuje jednej gwiazdy. Musi być jakiś wabik marketingowy.

– Może ta, no... Jak jej tam było? – zastanawiał się głośno Mateusz

– Ona śpiewała w tym no... Projektuje teraz buty. Ela, wiesz która?

– Wiem, ale to nie ta – znajomość nazwisk była porażająca.

– To może ta, na S? A nie, ona już nie śpiewa! – zaproponował Diego.

– Bo projektuje buty – skomentowałam.

– Kurde problem z gwiazdą. Hmm... – sapnął przewodniczący.

– Zróbmy tak: obliczamy koszty, jak coś zostanie, dopasujemy gwiazdę. Chociaż... Znam kogoś! Pamiętasz Marcelinko? Był w Amwaju, nie szło mu i wrócił na scenę.

– Pamiętam, może być. Lilka zadzwoń do niego.

Lilka zadzwoniła do znanego gwiazdora, który przez chwilę zajmował się dystrybucją. Zgodził się. I dobrze, bo był niezły. Obsada była, można było tworzyć musical. Mateusz zajął się marketingiem, ja z Lilką reżyserią, Marcelina garderobą i podkładami, Diego nadzorował całość. Borzęcki został dyrektorem artystycznym. Wszystko ustaliliśmy, więc można było wrócić ze spokojem do swoich zajęć.

*

Leżeliśmy z Mateuszem w łóżku.

– O czym myślisz? – spytałam.

– O Carmen – odparł bez żenady mój mąż.

– Jak to?

– Pięknie się rusza. Nie znałem jej takiej – przewrócił się na drugi bok i odwrócił do mnie plecami.

Nie powiem – mnie to ruszyło. Ale bardziej to, że nie śpi i o tym mówi.

– Może my czegoś o niej nie wiemy. Tańczą z tym Rysiem tak, jakby całymi latami mieszkali w Sewilli – na głos myślał Mati.

– Mieszkali całe życie w Bzowie. Taka se droga i taka se willa. Prawie jak Sewilla. Może czegoś nie wiemy. Dobranoc kochanie.

– Dobranoc.

Mateusz zasnął od razu. Wierzgał przez sen i rżał jak koń. Wiedziała, że Rysiu czytał w jego myślach, a sen pewnie dotyczył stratowania go w razie potrzeby.

ODCINEK VII

Pomieszanie z poplątaniem – brazylijskie problemy

Już się chwaliłam nagrodą za reportaż, ale nie mówiłam, że książka, którą „napisaliśmy” z Mateuszem o naszej miłości, sprzedawała się jak świeże bułeczki. Kto by się spodziewał.

Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że sceny miłosne natchnęły mojego naczelnego do tego, żeby zaproponować mi prowadzenie nowego programu telewizyjnego pod tytułem: „Łózkowe rewolucje”. Nie byłam zdziwiona, Mateusz też nie. Wiedziałam, że mam talent i feng-shui sukcesu działało. Postanowiliśmy to z moim mężem uczcić. Wynajęliśmy stolik w najlepszej restauracji i długo świętowaliśmy. Jakieś cztery wina. Sporo czasu nam to zajęło. Przypominaliśmy czasy, w których wspólnie pisaliśmy moją pracę magisterską. Podziękowaniom nie było końca. Mateusz po czwartym winku wyjął małe zawiniątko z kieszonki marynarki.

– To śla cibile – wyszeptał.

– Śla mię? – wzięłam puzderko i upuściłam na ziemię.

– Si – pomagał mi podnieść. Oboje leżeliśmy na podłodze najlepszej restauracji w tym mieście, gdzie cały światek artystyczny przyglądał się nam z politowaniem, ciamkając lunch.

– Mateusz, nie mogę otworzyć pudełeczka.

– Bo nie masz siłeczki. Daj. Wziął pudełeczko, które poturlało się w kierunku innego stolika. Całe szczęście, że pan, który równie ledwo wstał podał nam je mówiąc:

– Sarenczyny?

– Tak, dwudzieste piąte – wymamrotał Mateusz.

– Spólczuję pani – powiedział pan i podał mi zgubę.

Trzymałam w łapkach pudełeczko w kształcie serduszka z napisem „Z miłości do piękna”. Wyjęłam z niego pierścionek z małym brylancikiem, wcisnęłam na opuchnięty paluch i płacząc z upojenia alkoholowego wyszeptałam:

– Safsze f nas fierzyłam.

Pocałowaliśmy się, daliśmy kelnerowi niemały napiwek i zamówiliśmy taksówkę.

Carmen czekała na nas w domu z kwiatami i dokładką szampana. Nie omieszkaliśmy zaprosić również Rysia, który zamieszkał na tyłach naszego domu razem z ukochaną. Świątowaliśmy chwilę, Mateusz włączył muzykę flamenco, wywijaliśmy tak, że zgarnęłam ręką swój posążek szczęścia, który upadł i rozbił się. Zamarłam.

– Elka, nie przerywaj, tańczymy dalej! – krzyczał roztańczony Mateusz.

– Co teraz? – Stałam i nie wierzyłam. Miałam wrażenie, że to mój posążek przyciąga sukces.

– Zostaw ten kicz, posklejasz jutro. Tańcz! – wywijał przede mną Mati z rozpiętą koszulą i doklejonymi czarnymi włosami na piersi.

– Czym doklejałeś te włosy? – zapytałam.

– Jak to czym – super klejem.

– Gdzie go masz? – Stałam nachylona nad posążkiem, próbując go składać, ale nie mogłam trafić. – Daj ten klej, nie patrz tak.

– Ok, ok. Proszę.

– Przyciągnę fatum, zobaczysz.

– Nie ma żadnego fatum – odezwał się Rysiu. – Ten posążek zrobił swoje. Odniosła pani sukces i o to chodziło. Teraz musi się pani skupić na czymś innym.

– Co ty gadasz, panie Rysiu? – zapytał Mati nie przestając tańczyć.

– Tak już jest. Wiem, teraz będzie pani zarabiać grubą kasę i podróżować.

– Elka, postaw Rysia na tym miejscu, gdzie stał posążek. Wszystko wie.

– Słyszę pani podświadomość – odrzekł Rysiu – Niech pani nie skleja.

– Słyszysz moją podświadomość. Boże. To czemu ja nic nie słyszę?

– Zaraz przyjdzie pan Diego. Ma ten sam problem – odrzekł Rysiu, trzymając w rekach złamany gadżet.

– Panie Rysiu, może powinien się pan zająć wróżbiarstwem – zaczynała mnie ta jego wiedza irytować. – Kończymy, przepraszam, ale nie mogę się skupić.

Wszyscy rozeszli się po swoich pokojach. Mateusz wziął żele Kwiatkowskich i poszedł pod prysznic. Usłyszałam pukanie do drzwi. W drzwiach stał Diego z podkrążonymi oczami i trzymał w rękach swój posążek fengshui.

– Ela, co to jest? Czy ty masz pojęcie, że Marcelina postawiła

to w przedpokoju. Nie można koło tego normalnie przejść, bo zawsze widzę jakieś światło.

– Jakie światło? – wzięłam od niego posążek – Chodź, zobaczymy.

Usiedliśmy na sofie. Wzięłam swoje mądre książki i sprawdzaliśmy. Znalazłam wytłumaczenie. Energia tego posążka miała być pozytywna. Uspokajałam Diego:

– Hmm, nie widzę w tym nic złego. To na przyciąganie miłości.

– No właśnie. Martwi mnie to.

– Chcesz kielicha, Diego? – zapytałam, bo trzeźwiałam i zaczynały drażnić mnie wszystkie energie wokół mnie.

*

W mieszkaniu Kwiatkowskich w tym czasie Marcelina spała. Ale w pewnym momencie usłyszała szum fal, odgłosy delfinów i zobaczyła wyciągniętą ku niej dłoń biznesmena, który przychodził się doszkalać. Przywoływał ją gestem i zaciągnął do miejsca, gdzie stał posążek. Otworzyła oczy :

– Diego! Co się stało z posążkiem? – wiedziała, że Diego zniknął razem z feng-shui.

*

Diego w naszym domu opowiadał, że widział na Kubie takie moce, co to rozum nie mógł tego ogarnąć. Opowiadał, gestykulował. Mateusz krzyknął z łazienki:

– Ela, rozbieraj się. Chcę zobaczyć „zabawkę” programu „Łóżkowe rewolucje”.

Nie wiedziałam za bardzo co krzyczy, bo wsłuchiwałam się w opowiadania naszego sąsiada, z którym właśnie popijaliśmy ździebko. Opowiadał jak na Kubie niewidzialna moc w nocy próbowała dotknąć piersi jego siostry. Nachylił się nade mną i chciał po prostu pokazać sytuację. Niestety wszedł Mateusz w samym ręczniku. Diego spojrział, zatrzymał rękę na mojej piersi,

a Mateuszkowi opadł ręcznik i zamarł. No, co? Zdarza się.

– Witam sąsiada – przywitał się goły Mateusz w miarę po ludzku – Co tam, problem?

– I to jaki sąsiedzie. Moja żona kupiła jakiś posążek, czy coś – pokazał coś, które leżało na stole. – Przejść się koło tego nie da, bo widzę jakieś światło. Moja żona co noc schodzi na dół, bo twierdzi, że ją coś do tego ciągnie. Jakiś biznesmen, czy ktoś. Ela mówi, że to ma przyciągnąć miłość do naszego domu.

– A to wy się nie kochacie? – spytał Mateusz.

– Jak to? – spojrzał Diego na mnie. – Marcelina coś mówiła?

– Nic mi o tym nie wiadomo – skłamałam oczywiście, bo wiedziałam przecież o co chodzi.

– Sąsiedzie – Mateusz oparł się o poręcz fotela, założył szlafrok, potem nogę na nogę i zapalił cygaro. – Te wszystkie pierdoły, to babskie sprawy. Po co dajesz się w to wciągać, sąsiad? Cygarko?

– Si. Bo widzisz. Ostatnio nam się nie układało – tłumaczył się Diego. – Sytuację mieliśmy napiętą. Dosyć długo nie...

– Nie sypialiście razem – kontynuował Mateusz. – Proszę cię, z takiego kryzysu, to my z żoną wychodziliśmy pół roku. Nie jesteście jedyni.

– I co, już się przemogłeś? – spytał sąsiad.

– Zażegnaliśmy kryzys razem – pochwalił się mój mąż.

– Razem z feng-shui – dodałam.

– No widzisz – zaniepokoił się Diego. – Co teraz? A jak mnie zdradza? Poradźcie coś.

– Szkoda mi ciebie, bracie – odrzekł Mati. – A jak zdradza? Mam pomysł: zaprośmy do nas Rysia. Może odpowie na parę pytań.

Troszkę żartowaliśmy sobie z naszego gościa, ale mieliśmy do tego pra-

wo, byliśmy już po piątym winku.

– Tego Rysia, co ze zwierzakami gada?

– Tak, Rysiu nie wygląda, ale parę rzeczy wie. Co ty na to, Ela?

– Panowie, idę po Rysia! Takie rzeczy trzeba rozjaśnić, to znaczy wyjaśnić. Jak Rysiu coś wie, to niech mówi.

Ryszard chętnie podjął się konfrontacji z podświadomością Bąbla. Zeszli z Carmen bez sprzeciwu.

– Trzeba zapalić świeczkę – zarządził Ryś. – Muszę widzieć pana aurę. To ważne. Jak czerwona, to miłość jest, jak zielona czy jakaś tam, to trzeba będzie myśleć.

– Czy ja umrę? – spytał Diego.

– Co pan widział w tym swoim świetle? – spytał Rysiu.

– Mojego padre – odpowiedział Diego.

– Ano widzi pan. To ważne. Pana ojciec kocha. Pan musi zapalić świeczkę. Zanim się to zrobi, trzeba zadać podświadomości pytanie – nawet mi się podobało.

– Jakie pytanie? – Diego był jednak coraz bardziej przestraszony.

– Można zapytać na przykład: czy wybór mojej miłości życia, jest prawdziwy i trwały?

– Nie zapytam, bo to wiem. Co ten facet za pierdoły opowiada. Wiem, z kim się żeniłem. Kocham ją. Nie będę o nic pytał.

– Zapal. Zobaczymy – podał Diego zapalniczkę.

– Dobra. Zobaczymy, karamba! – Uf, zapalił.

– Ano widzisz pan – przyglądał się aurze Rysiu.

– Co pan widzisz? – spytał Diego.

– Proszę pana widzę, tak: aura prawie pomarańczowa, trochę jakby czer-

wona.

– Co to znaczy, kurde? – rozłościł się Diego.

– Pomarańczowy. Objaśniam: żywotny, energetyczny, aura przejdzie za jakiś czas w czerwony: kolor agresji i zmysłowość. Objaśniam – musi pan być dla niej delikatny i czuły. Pana agresja ją zmęczyła, szuka podświadomie miłości i czułości.

Diego nie odezwał się, był wpatrzony w płomień i leciały mu łzy po policzku. Brazyliada na maksa.

– Szuka podświadomie miłości? A ja? Co się stanie ze mną? – wyszeptał nasz sąsiad. – Zawsze szukała podświadomie czegoś albo kogoś. A jak nie jestem ojcem Lilki? – płakał jaj bóbr.

– No i widzisz Rysiu, co zrobiłeś – skarciła go Carmen.

– Senior Diego! Niech się pan ogarnie, ojcem Lilki jest...

Zadzwonił dzwonek do drzwi. Otworzyłam, więc nie usłyszałam, kto jest ojcem Lilki. W drzwiach stała Kwiatkowska.

– Cześć, jest u was Diego?

– Jasne, wejdź.

Marcelina wpadła do pokoju jak burza. Zdmuchnęła świecę i zaczęła krzyczeć. To był czad:

– Diego, jak chcesz o coś zapytać, to pytaj mnie! Słyszałam przez okno. Kto jest ojcem Lilki? Zgłupiałeś do reszty! Chcesz rozwodu? To go za chwilę możesz mieć! Będziesz wtedy szukał podświadomie w dupie mózgu! I zadawał sobie pytania do końca życia! Od pół roku ze mną nie sypiasz. Raz powiedziałeś, że mnie kochasz po dwudziestu latach. Kilka dni temu. To ja mam dosyć, tych twoich mydeł, pachnideł i twoich klientów, z którymi ja utrzymuję kontakty. Nudzisz się Diego. Rozumiesz? Nie kochasz nikogo! Jesteś zazdrosny o moją karierę, o Lilkę. Kiedy usiadłeś, żeby z nami normalnie porozmawiać? O czymkolwiek? Normalnie? Nawet, kurde, przy świecach i ja-

kimś winie. Siedzisz i przeliczasz, kalkulujesz, niczego nie widzisz. Uprzedzam – daję sygnały od jakiegoś czasu, że mam dosyć. Nie rozumiesz mowy ciała? Bo nie chcesz rozumieć. Rozumiesz?

O cholera, zrobiło się gorąco. Wkroczył Mateusz.

– Marcelina, proszę usiądź i wysłuchaj.

– Nie ma mowy, dosyć tego! Zawsze szukałam podświadomie czegoś albo kogoś. Odpowiedz sobie sam teraz na pytanie czego szukam, jeśli potrafisz. Bo odchodzę!

– Marcelina, proszę – uspokajałam ją.

Sytuacja była poważniejsza niż myślałam.

Wysłuchiwałam jej skarg, żalu na sytuację w jej domu, ale tak naprawdę myślałam, że mnie to bawi. Coś trzeba było zrobić. Diego wstał i położył dłonie na stole.

– Karamba! Nie kocham!? Ja... Ja dwadzieścia pięć lat szaleję za tobą. Ja o nikim innym nawet nie pomyślałem.

– To, co robi ta wytatuowana masakra w twoim puzderku przy łóżku, hę?

– Ciszej tam! Jest noc! Dokończcie się kłócić rano – krzyknął sąsiad z domku obok.

W tym momencie konie w stajni zaczęły rzeć i zrobiło się naprawdę głośno. Zamknęłam okno. Wołałam, żeby atmosferę oczyścili w naszym domu, niż w swoim. Na to wszystko wstał Rysiu.

– Czy mogę coś powiedzieć? – zapytał.

– Siadaj pan! – krzyknął Diego – Wróżbita, koño.

– Możecie wierzyć lub nie – kontynuował Rysiu – ale miłość zawitała do tego domu. Pana aura jest różowa.

– Zamknijcie go! – wkurzył się Diego.

– A to oznacza – kontynuował Rysiu – że oczyściliście złą karmę. Od jutra tylko miłość.

– Bo mu przypier...– to oczywiście dorzucił nasz sąsiad.

– Dosyć! – uspokoiła atmosferę Marcelina – Panie Rysiu, czym jest dla pana karmy miłość?

– Dla mojej karmy miłość to Marysia. Dla pani miłość, to spełnienie zawodowe i prywatne. Bardzo się kochacie – tu wskazał na sąsiada – dlatego od jutra wasza miłość się wypełni. To tyle – Rysiu grzecznie złożył dłonie na kolanach.

Siedzieliśmy w skupieniu. Patrzyliśmy na Rysia i łzy płynęły mi po policzku. Płakaliśmy wszyscy. Diego przytulił się do Marceliny. Mateusz – do mnie, ukradkiem szczypiąc mnie w pupę. Rysiu złapał Marysię, w sensie Carmen za koka i rozpuścił jej włosy. Włączył flamenco i wszyscy daliśmy czadu do rana. Poszły jakieś kolejne cztery wina. A to już była przesada.

Nie polecam.

Donia Ela.

ODCINEK VIII

Przepowiednie Rysia

Była niedziela. Pierwsza od jakiegoś czasu spokojna. Siedzieliśmy z Mateuszem w piżamach, jedliśmy chipsy, przytulaliśmy się i oglądaliśmy ostatni odcinek serialu, w którym Omerio Machego żeni się w końcu z Laurą. Słyszeliśmy jak Rysiu i Carmen pakowali na górze walizki. Jechali na jeden dzień do Bzowa. Widziałam przez okno, jak Ryś podążył do stajni, żeby oporządzić konie. Za nim, w seksownym wdzianku, biegła Carmen. Lubili baraszkować na sianie. Takie przyzwyczajenie z Bzowa. Uśmiechnęłam się do siebie. Mateusz przysnął. Ja też.

*

Rysiu czyścił konia, zmieniał siano i przesyłał buziaki swojej ukochanej. Carmen czyściła z drugiej strony. Nie wiadomo, czy byli jeszcze przed czy już po. Rysiu zatrzymał się na chwilę i powiedział do siebie:

- Chan? Jaki Chan?
- Co mówisz? – spytała Carmen.
- Nie uwierzysz, ale jakiś Chan zagraża spokojowi tego domu.

– Chan, to brat seniora Diego. Koń ci to mówi?

– Marysiu, żaden koń. Podświadomość – czyszcząc mówił dalej. – Pani Ela odniesie sukces. Nie byle jaki – stanął, wsłuchiwał się w swoje myśli. – Co to za imiona? Chan, Almodovar? Koń by tego nie wypowiedział. Ten Almodovar jakiś dziwny, inny jakiś. Jak nie człowiek. Spotkają się w jakiejś kawiarni i...

– I...? – zaniepokoiła się Carmen.

– I... Co tam. Musimy jechać.

– Rysiu, ale ty słyszysz czy widzisz takie rzeczy?

– Chodź maleńka. Spadamy stąd. Konie mają co jeść, co pić, a reszta musi się martwić o siebie.

Usłyszeli podjeżdżający samochód, w którym siedział Chan.

– Zaczęło się – spojrzał na Chana Rysiu. – Uprzedź ich. Niech Mateusz nie wychodzi z domu!

– Rysiu, jak im to powiem?

– Normalnie, maleńka. Sprężaj się.

Rysiu zatrzymał Chana rozmową, Marysia biegła w kierunku domu. Ale Chan najwidoczniej nie chciał z Rysiem rozmawiać, bo pobiegł za Carmen, krzycząc;

– Ja pierwszy! Jak to się mówi? Berek! – i klepnął ją w ramię.

Oczywiście pierwszy dopadł do dzwonka.

*

– Mati, otwórz. Jestem w piżamie – szturchnęłam Mateusza.

– Kogo tam niesie? – założył szlafrok i poszedł otworzyć.

– Witam! – uśmiechnął się Chan – Mogę, czy nie w porę?

– W porę, proszę. Mateusz posadził Chana na sofie i poszliśmy się prze-

bierać.

– Mateusz masz t-shirt na lewą stronę – zwróciłam mu uwagę, bo w niedzielę nie wie jak żyje.

– A ty załóż biustonosz.

– Oj tam.

– Elka, nie będziesz świecić cyckami. Wiem, że lubisz te klimaty, ale sama rozumiesz.

– Chodź głuptasie – zesliśmy na dół.

– O! Ela – przywitał mnie nadto czule Chan, bo wessał mi się w dłoń. – Piękna pani domu – wręczył mi mały bukietek polnych kwiatów. – I dla gospodarza coś mam – wyjął niezbyt drogie wino i podał Mateuszowi.

Był pachnący, przystojny i obwieszony złotem. Czułam intrygę.

– W czym możemy pomóc? – zaczął Mati.

– Jestem w Polsce od roku... – zaczął. – To piękny kraj. Palmy u was tylko brakuje.

– Nam też brakuje takiego szaleństwa, jakie wy macie w sobie – odrzekłam.

– Mam kupić dom – kontynuował – muszę zainwestować w coś u was dinero.

– Fachowcem od dinero jest Diego – stwierdził Mateusz.

– No właśnie. Mnie tam jego mydła nie interesują. Ale wasza firma, Matela, jest na giełdzie. Wysoko stoicie. Chcę kupić wasze akcje. Przyszedłem pogadać. Zostałeś prezesem, si?

– Si.

– No właśnie. Zainwestujcie w kubańskie cygara.

– Po co? – spytał Mateusz.

– Bo nasze są najlepsze, a wasze papierosy niedobre. – Mateusz nie palił, ale był prezesem firmy, która sprowadzała najlepszy tytoń z Ameryki.

– To nie takie proste – ciągnął rozmowę Mati, ale wiedziałam, że naszemu gościowi o coś chodzi, co mogło nam się nie spodobać. – Mamy zakontraktowaną jedną firmę i tego chcemy się trzymać. Wprowadzanie zmian zupełnie nas nie interesuje.

Mateusz prywatnie zakładał t-shirt w niedzielę na lewą stronę, ale jeśli chodzi o swoją branżę, był wyśmienitym biznesmenem i bardzo konkretnym człowiekiem. Kochałam w nim ten profesjonalizm.

– Amigo, na Kubie stoi cały kontyngent cygar do opchnięcia.

– To go jakoś opchnijcie – kontynuował Mati.

Wiedziałam, że Chan nie rozmawiał z Diego o tej szemranej transakcji.

– Jak? – spytał Chan.

Carmen wniosła napoje. Postawiła na stole i puściła do mnie oko. Wyszłam za nią do kuchni.

– Co się dzieje Carmen? Mielicie jechać do Bzowa.

– Nie możemy pani zostawić samej.

– Jak to samej. Jest Mateusz.

– No właśnie. Rysiu rano usłyszał, że Chan to zagrożenie dla waszego domu.

– Carmen, muszę odpocząć od tych przepowiedni, idę do gościa.

Carmen stała niepoczona, nawet nie zwróciłam na to uwagi. Wróciłam do pokoju.

– Chan nie możesz robić takich rzeczy, to niebezpieczne w tym kraju. W innym pewnie też słyszałam reprimendę Matiego.

– Czemu nie chcesz mi pomóc? – spytał Chan.

– Bo nie zajmuję się lewymi interesami, wybacz Chan.

Do Mateusza w tym momencie zadzwonił telefon.

– Kochanie muszę pojechać do firmy, zostałem pilnie wezwany. Elu za godzinę będę. Do widzenia Chan – pożegnał gościa Mateusz i wyszedł.

Zostałam z Chanem sama. Już go nie lubiłam, więc nie wiedziałam, o czym mam z nim rozmawiać. Spróbowałam zacząć trochę złośliwie:

– Może zainwestuj w złoto – spojrzałam na jego mało gustowny złoty łańcuch.

– Moi rodzice ciężko całe życie pracowali – zaczęła się brazyliada. – Było nas pięcioro. Padre i madre pracowali w fabryce trzciny, żeby nas wszystkich utrzymać. Od świtu do nocy – wyciągnął zdjęcia padre i madre i przysiadł się do mnie. – Kiedy przyjechałem do Polski, pomyślałem: co za kraj, co za kraj, gdzie dzień wita mnie jasnym światłem...

– I spojrzeniem pięknych kobiet – dokończyłam, bo czytaliśmy te same książki.

– Si. Palmy tylko u was brakuje.

– Mówiłeś już. Chan do czego zmierzasz?

– Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy na prezentacji kosmetyków, pomyślałem, że jesteś jedyna, niepowtarzalna – przyssał się do mojej dłoni – i, że moje życie chciałbym spędzić z kimś takim, jak ty. Elu – kocham cię od pierwszego wejrzenia – zaczął mnie całować.

– Chan! Ja mam męża! – odepchnęłam jego spocone dłonie od siebie.

– Elu, kocham twoje włosy, blondyneczko o niebieskim spojrzeniu. Światło mojej duszy. Na te słowa wpadł Rysiu. Wiedziałałam, że oboje z Carmen podsłuchują.

– Hola! – szarpnął Chana za wielki, kubański, śnieżnobiały kołnier.

Ale „hola” w języku kubańskim znaczy „witam”. Więc Chan się po prostu uśmiechnął. Rysiu się wkurzył.

– Hola! Bo nie wytrzymię!

- Rysiu, spokojnie. Nic się nie dzieje – odparłam atak na gościa.
- Tak się tylko pani wydaje. To niebezpiecznie zakochany w pani człowiek.
- Jak to niebezpiecznie? – zapytałam.
- Człowiek mafii. Cygara kubańskie. Rozumie pani.
- Że jak cygara, to mafia? – byłam trochę zdziwiona sytuacją.
- Chan mógłbyś się jakoś wytłumaczyć zanim powiem o wszystkim Diego – spojrzałam na Chana. Nie chciałam wzniecać rodzinnych afer.
- Chce sprowadzać legalnie kubańskie cygara. Żadna mafia! A serce nie sługa, wybrało ciebie.
- Chan ja mam męża.
- Zmiany są w życiu konieczne – był dziwnie stanowczy. Nie kumał.
- Nie mam siostry bliźniaczki, Chan. Musisz się z tym pogodzić. Poza tym, ten kraj wita naprawdę spojrzeniem wielu pięknych kobiet – musiałam pleść głupoty. – Na pewno coś dobrego się dla ciebie wydarzy w naszym pięknym kraju. Schowaj zdjęcia – i łańcuch, ale tego nie dodałam. – Napijmy się herbaty. Widzisz Chan, ja też byłam całe życie sama. Moi rodzice też ciężko pracowali. Ojciec księgowy, matka sprzątaczką. Moje dzieciństwo to trauma: buciki z odzysku, psy ze schroniska, lalki z pończoch. Mój ojciec zawsze powtarzał mojej matce: „Jak skończysz czterdziestkę, to cię uśpię”. Nie uśpił. Są szczęśliwi ze sobą po dziś dzień. Wiesz, ułożyłam sobie życie po swojemu. Tak, jak chciałam. Też jestem szczęśliwa. Inaczej niż oni. Ale jestem naprawdę szczęśliwa. Musisz zrobić to samo. Zapomnieć i żyć po swojemu. Spójrz na Diego – patrzył na mnie z otwartą gębą, wkurzał mnie. Chciałam się go już naprawdę pozbyć. – Przeszedł wiele, ale dał radę – kontynuowałam. – Chan jedź do domu i pomyśl o sobie, przy dobrej kawie, salsie czy tam coś – niech już idzie, pomyślałam. Bo za chwilę nie wytrzymam. – Na pewno się jeszcze spotkamy i przyznasz mi rację.

Wstałam i kierowałam się do drzwi. Mój gość siedział nadal z otwartą

buzią. Zleciała się do jego oddechu mucha, pacnął ją i trafił. Rozplaskała mu się na policzku. Uśmiechnął się do siebie, wstał i kierował się tanecznym krokiem w moją stronę.

– Gdybyś była moja. Twój padre i madre, kochaliby mnie nad życie, jak syna – nadal nie kumał.

Zbliżył usta do moich, a pacnięta mucha wisiała na jego policzku, na jednym skrzydle.

– Idź już Chan, bo za chwilę zawołam Rysia – nerwy puściły. – Życzę ci powodzenia.

Wyszedł szepnąwszy cichutko: „Adios”. Usiadłam na sofie i nie wierzyłam, że tak można. Zapomniałam o premierze swojego programu telewizyjnego „Łózkowe rewolucje”, włączyłam telewizor szły napisy, właśnie się skończył film. Na szczęście weszła Carmen, żeby sprzątnąć filiżanki.

– Nagrałam. Super program. Wszystkim się spodoba – odetchnęłam z ulgą.

– Dziękuję Carmen – wstałam i podeszłam do okna, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zadzwoił telefon.

– Halo, pani Elu, widziałem. Rewelacja i prawdziwa rewolucja – dzwonił Almodovar, mój naczelny. – Pani naprawdę jest wspaniała. Kocham panią – mówił tak do wszystkich, więc nie zareagowałam. – Mam dzisiaj chwilę, żeby się spotkać. Da się pani namówić ze swoim mężem na lunch?

– Męża nie ma – odparłam.

– To co, jesteśmy dorośli. Nie skrzywdzimy się. Zapraszam. Co pani na to?

– Przyjmuję zaproszenie.

– Za godzinkę?

Umówiliśmy się za godzinkę w najdroższej restauracji w tym mieście, tam gdzie świętowałam z Mateuszem. Więc się trochę obawiałam rozpozna-

nia, ale w sumie czemu nie. Musiał być naprawdę zadowolony. Skrzypnęły drzwi od kuchni. Oczywiście Carmen stała na czacie. Poszłam na górę i zastanawiałam się co założyć. Nie miałam humoru. Stringi? Białe spodnie? Nie wiedziałam, gdzie położyłam soczewki. Użyłam perfum Kwiatkowskiej i wyszłam. Wsiadłam do samochodu. Nie chciał odpalić. Dobry humor mnie opuszczał. Na szczęście wyszedł Rysiu.

– Niech Pani otworzy maskę – otworzyłam.

– Rysiu, mieliście jechać do Bzowa.

– Pojedziemy w przyszłą niedzielę. Wszystko gra. Zapłon – Rysiu opuścił maskę. – Niech pani dzisiaj uważa na siebie.

– Proszę cię... – miałam dosyć dzisiejszego dnia.

– Droga do centrum rozkopana. Niedziela, coś robią. Widziałem w wiadomościach.

– Dzięki Rysiu. Włączę jakąś nawigację.

– Mogę pojechać z panią – zaniepokoiłam się tym stwierdzeniem, bo wiedziałam, że znowu coś knuje.

– Nie potrzebuję bodyguarda. Dam sobie radę. Znam to miasto i skróty. Do zobaczenia wieczorem.

Odpaliłam samochód, chciałam ruszyć, ale spod kół wyleciał czarny jak heban kot. W dodatku nie nasz. Zgasiłam samochód. Wsiadłam, obeszłam kółko i zastanawiałam się nad sensem wypowiedzi Rysia. Wróciłam do domu. Wiecie po co? Po feng-shui. Taki mały wisiołek, który zapewniał parę rzeczy. Wsiadłam, odpaliłam, ruszyłam. Włączyłam radio.

– Dziś odbyła się premiera nowego programu telewizyjnego „Łózkowe rewolucje”. Zapraszamy naszych słuchaczy do wzięcia udziału w konkursie smsowym – usłyszałam głos młodej cipki, która zarzynała wcześniej moje medialne dzieciątko. Przeniosła się do radia. Albo ją przenieśli. Ostatecznie była już po trzydziestce.

– Kto z słuchaczy jest na tak, wysyła pod numer..., do wygrania... – włączyłam się do rozmowy, bo wiedziałam co powie – kosz pełen niespodzianek. Słuchałam tej dziewczyny i pomyślałam, że media potrzebują nowych wartości.

Wszyscy mówią tym samym językiem, o tym samym i podkradają sobie pomysły. Masakra. Rysiu miał rację. Krążyłam po mieście prawie godzinę, więc zadzwoniłam do Almodavara, że się spóźnię. Czekał. Słyszałam po głosie, że jest co najmniej po jednym winku. Znałam te tony i stany, przerabiałam to w redakcji. O czym ja z nim będę rozmawiać? – pomyślałam i szukałam miejsca do parkowania. Najdroższa restauracja w mieście i nie ma gdzie stanąć. Pomalowałam usta, poprawiłam włosy i ruszyłam do wejścia. Siedział i popijał. Wiedziałam, że to spotkanie było niepotrzebne.

– Dzień dobry panie Stanisławie – przywitałam się.

Almodovar naprawdę nazywał się Stanisław Wyspiański. Wyglądał na więcej lat niż miał. A miał niecałe pięćdziesiąt. Cera ogorzała, palił papierosy i to jeden za drugim. Klient i rozmówca mojego męża, nie mój.

– Witam pani Elu. Nareszcie pani dotarła. Wiem, wiem, nic się nie dzieje – pocałował mnie w rękę. Popatrzyłam z obrzydzeniem. – Proszę niech pani siada. Zaprosiłem panią na lunch, bo do jutra nie wytrzymałbym z tym, co mam pani do powiedzenia.

Usiadłam, zamówiłam sałatkę warzywną, kieliszek białego wina i czułam, że coś się złego wydarzy. Ten facet miał to wypisane na twarzy.

– Nie wiem od czego zacząć – jak zwykle w taki sposób rozpoczynał rozmowy. – Widziałem program. Jestem panią zachwycony. Pani postęпами, tym w jaki sposób pani wyraża swoje myśli. Rozwinęła się pani.

Miałam prawie tyle samo lat, co on. Trochę mnie wkurzał sposób w jaki mi o tym mówił. Byłam uznaną dziennikarką od wielu lat, tylko z półroczną przerwą w całej karierze. Znałam swoją wartość. Więc nie znosiłam takich przemówień. Miał włożone dwa Parkery w górną kieszeń od marynarki. I założył soczewki, chociaż wiedziałam, że mocno niedowidzi. Cokolwiek to zna-

czy. A białe pianki w kącikach ust, mówiły mi, że ta rozmowa jest bezcelowa. Realizowałam ten program, bo znam potrzeby publiczności, lubię swoją pracę i zawsze oddaję się wszystkiemu co robię w stu procentach. Więc takie gadki mnie nie interesowały. Dziwnie zaczęłam do czegoś dorastać, patrząc na tego faceta

– Moja pani – kontynuował, popijając już tanie piwo – współpraca z panią uświadamia mi jaki jestem mały – chyba rzadki, ale tego nie zauważał. – Jak robaczek świętojański, który świeci raz w roku.

– Paproć świeci raz w roku – gadałam również głupoty, bo zaczynał mnie irytować.

– Pięknie pani to ujęła. Moja droga do kariery nie była usłana różami. Zaczynałam rozwijać swój talent na niemieckim rynku filmowym. Doświadczenie dobre, ale to pani ma talent. Nie chcę mówić, że mi pani zagraża, ale dziś to poczułam. Publiczność panią kocha. Zazdroszczę – mówił, i nie przestawał popijać. – Elu, jest pani piękną kobietą. Pomogłam pani wejść na drabinę tego sukcesu, bez mnie to by się nie stało. Dziś pani życie się odmienia, również dzięki mnie – rozpiął guzik od koszuli, udając, że mu gorąco. Nie było na co patrzeć i wiedziałam, że facet za chwilę odpali, włączyłam po cichu dyktafon w telefonie. – Chcę się z panią kochać. I w taki sposób sobie podziękujemy. Co pani na to?

– Gdyby mój mąż był tu razem ze mną, co by mi pan zaproponował?

– Zaproponowałbym to pani jutro, w redakcji – uśmiechnął się. – Nie odpuszczam takich rzeczy. Odpuściłam tylko trzem koleżankom w redakcji. Cała reszta musiała. Takie czasy. Nie ma darmowych obiadków.

Całe szczęście, że w redakcji było tylko pięć pięknych pań, więc nawet domyślałam się, której zależało na takiej promocji. Miałam nagranie, więc chciałam zakończyć rozmowę.

– Widzi pan, kolego, nie jestem zainteresowana. Dlatego podziękuję za zaproszenie. Uznajmy, że nic się nie wydarzyło, jeśli nie chce mieć pan kłopotów.

– Takie nerwy nie pomogą – naciskał naczelny.

W tym momencie zobaczyłam, że przy barze siedzi Rysiu z kamerą. Wstałam od stołu, ale wydarzyło się coś, czego się nie spodziewałam. Almodovar złapał mnie za rękę i pociągnął w dół z powrotem na krzesło.

– Siadaj! Nie skończyłem – piana wylała mu się z pyska.

– Puść mnie, bo pożałujesz – popatrzyłam mu w oczy i nie bałam się tego, co nastąpi potem.

– Idziesz ze mną na górę. Wynająłem pokój. Jesteś piękna i zmysłowa – całował moją rękę.

– Zdaje sobie sprawę. Ale ta zmysłowość nie jest skierowana do ciebie. Puść albo zacznę krzyczeć.

– Wynająłem pokój na twoje nazwisko, telefonicznie, a więc będzie tak, że to ty mnie sprowokowałaś i zaciągnęłaś na dzisiejszą randkę – nie puszczał mojej ręki.

– Szanowny panie, proszę puścić moją rękę i pożegnajmy się – puścił.

Wstałam, widziałam kątem oka Rysia. Almodovar podszedł do mnie i próbował dotknąć mojej piersi. Tego było za dużo. Podniosłam rękę, żeby go palnąć, ale w tym momencie pojawił się w drzwiach Mateusz. Podleciał razem z Rysiem i jednym ciosem sprowadził natręta do parteru.

– Załatwiałem nie takie – rzęził na posadzce naczelny.

Znałam tę posadzkę, podłoga była podgrzewana.

– Ela, pożegnajmy się z panem i wychodzimy – zarządził Mateusz – jedziemy do redakcji.

– Jestem naczelnym, kretynie!

Podszedł do nas znajomy kelner.

– Wezwać policję? Wszystko widziałem. Nasz ochroniarz wyprowadzi pana – ochroniarz złapał pana naczelnego pod pachę i wyprowadził, w amery-

kańskim stylu.

– Usiądźcie państwo, podam kawę – uśmiechnął się do nas nasz znajomy kelner. Usiedliśmy na chwilę.

– Co tu się stało? Ela, kochanie.

– Nie wiem, Mateusz – odpowiedziałam i naprawdę nie wiedziałam, co się stało. – Zadzwoił do mnie po obejrzeniu programu, rzekomo chciał mi gratulować. Był już mocno pijany, jak dotarłam. Spóźniłam się prawie godzinę. Nic na to nigdy nie wskazywało, nigdy.

– Ogarnij się na chwilę. Co chcesz z tym zrobić? Nie możesz tego tak zostawić – głaskał mnie po głowie Mati.

– Wiem. Zrobię o nim reportaż. Podejrzewam, że skrzywdził parę kobiet. Jutro porozmawiam z zarządem. Chodźmy do domu.

W takich sytuacjach nie czuję frustracji. Przeszłam w życiu nie przez jeden taki cyrk. Ale zawsze dotyczył kogoś innego. Mati o tym wiedział, dlatego próbował mnie rozbawić. Opowiedziałam mu o porannych przepowiedniach Rysia, o Chanie. Patrzył na mnie i głupio się uśmiechał.

– Masz powodzenie Elka. Mówiłem rano, załóż biustonosz.

– Walnięty jesteś, wiesz. Mam prawie pięć dych na karku. Więc jestem w szoku.

– Ja też. Bo ciągle jesteś moja i kocham cię tak samo mocno, codziennie.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Nie często mogłam usłyszeć o Mateusza, takie wyznania.

*

Rysiu jechał swoim samochodem przed nami. Myślałam o nim, bo to dziwny facet. Tak naprawdę sprawił, że dzisiejszy dzień warto było przeżyć. Kochałam Mateusza najbardziej na świecie. Nie wiedziałam co zrobić z Almodovarem, ale nie zostawię tego. Postanowiłam nagłośnić sprawę. Wjeżdżaliśmy na podwórko. Wybiegła w naszą stronę Carmen, w sensie Ma-

rysia. Rysiu zaparkował, wyskoczył z samochodu, podbiegli do nas.

– Pani Elu, Jezus Maria! Wszystko w porządku? – zapytała Marysia.

– Tak, Marysiu. Dziękuję. Wszystko w porządku – odpowiedziałam.

– Jak to, Marysiu? – zapytała Marysia.

– Odpuszczam ci – uśmiechnęłam się – Koniec z brazyliadą w naszym domu, Marysiu.

– Dzięki Bogu – odpowiedziała, ale nie pasowało to do niej. Postanowiłam obdarzyć ją i Rysia gadżetami feng-shui. Tak na szczęście i na wszelki wypadek.

*

Następnego dnia dotarłam do redakcji i od razu ruszyłam w stronę dziewczyn z redakcji. Okazało się, że mobbing był na porządku dziennym, nie tylko w tym dziale. Po tygodniu Almodovar spakował wszystko do pudełek i ruszył do Niemiec. Został zwolniony. Redakcja była trzy dni bez szefa. Zaproponowano mi tę posadę. Nie zdziwiła mnie ta propozycja. Miałam coraz więcej zmarszczek i ciepła posadka się przyda. Prowadzenie programu „Łózkowe rewolucje” zaproponowałam młodej cipce, która zarzynała wcześniej moje medialne dzieciątko. Tak naprawdę to była świetna, ale przyznałam się do tego przed sobą dopiero teraz.

ODCINEK IX

Musical – Premiera

To niewiarygodne, jak każdy dzień w naszym życiu jest od jakiegoś czasu inny i niepowtarzalny. W domu Diego aż wrzało od przygotowań do premiery. Kwiatkowska szyła kostiumy, uczyła się sztuki makijażu, a senior Diego szkolił w tym czasie biznesmenów. Zastąpił Marcelinę. Okazało się, że Chan jest muzykiem i to nie byle jakim. Przez chwilę grał na Kubie z Omarą Portuondo. To zmieniło absolutnie mój stosunek do niego. Wiedziałam, że to było chwilowe zachwianie równowagi życiowej. A więc wszystko dobrze się dla niego skończyło, bo dostał posadę w musicalu. Wszystko odbywało się bardzo profesjonalnie. Został wynajęty teatr na próby i zrobiło się w mediach głośno o premierze. Tak głośno, że gwiazdy same dzwoniły, żeby dostać rolę. Trzeba było zrobić dogrywkę castingu wyłoniliśmy naprawdę najlepszych. Wyłoniliśmy, bo odkąd zostałam naczelną, moja stacja telewizyjna promowała musical więc, mieliśmy prawo decydować o paru rzeczach.

Premiera za tydzień. Mateusz został współnikiem Diego. Wiecie, że każda „spóła w dupce kuła”, ale zgodziłam się. Mati wyłożył nasze dinero. Marysia, w sensie Carmen, i Rysio pobierali lekcję tańca, a wcale nie musieli, bo byli naprawdę świetni. Do tej pory nie zapytałam, jak to się stało, że tańczą

flamenco. Może kiedyś zapytam.

Scenariusz, który napisała Lilka, był bardzo dobry. Musical nosił tytuł „Torreador”, oczywiście tematem była wielka miłość i rozstanie. On był Hiszpanem, ona Polką, poznali się w Sewilli na wakacjach. A na końcu okazuje się, że nasz torreador, to taki Omerio Manchego, co to żadnej nie popuści. Zemsta polskiej, zdradzonej kobiety była okrutna. Torreador dostał za swoje. Oczywiście urodziło się z tego związku dziecko, ale nikt nigdy nie zapytał, kto jest ojcem. Publiczność będzie musiała uronić łzę, nie ma ludzkiej siły żeby nie – taki jest zamysł producenta. Zdaniem Diego, publiczność musi wyjść z teatru zachwycona i zasmarkana. Ja mam odmienne zdanie, lubię być zachwycona i roześmiana. Chociaż...

*

Cała ekipa producencka zabrała się któregoś dnia z Marysią i Rysiem do Bzowa, żeby zobaczyć prawdziwego byka i zrobić sesję zdjęciową dla mediów. Założyliśmy gumki, bo przecież taka se droga i taka se willa. Jakież było moje zdumienie, kiedy zobaczyłam, że ich „ranczo” jest większe od naszego. Nic nie rozumiałam. Dlaczego taka Carmen, w sensie Marysia, sprząta u kogoś w domu, chociaż jej własny jest dwa razy większy i naprawdę ładny. Okazało się, że była nauczycielką w tutejszej szkole, a Rysiu panem od WF-u. Ich pensje były tak małe, że nauczyli się tańczyć, żeby dorabiać kursami. Tylko dlaczego nie kujawiak. Może kiedyś zapytam. Byłam jednak zdziwiona. Nikt nie był zainteresowany w Bzowie flamenco? – kontynuowałam myśl, bo nie dawała mi spokoju. – Może dlatego obrazili się na świat i szukali szczęścia w innym miejscu? Zrozumiałam, bo sama byłam dosyć długo obrażona.

– Pani Elu! – zawołała mnie Marysia. – Proszę podejść na chwilę. Widzi pani te góry? Tam jest takie miejsce, w którym można przysiąc na chwilę i zadawać pytania. Tam przychodzą odpowiedzi.

– Marysiu, czemu zmieniłaś swoje życie? – spytałam, bo to chyba był dobry moment.

– Tam przyszła odpowiedź. Mam rodzinę w Sewilli. Mój dziadek jest Hiszpanem. Stąd flamenco. Spędziłam z nimi dzieciństwo. Nie ma w tym nic dziwnego. Zdecydowałam się na pracę u pani, bo czułam, że to dobra zmiana. Mówiąc szczerze, Rysiu wskazał na panią – nie pytałam o szczegóły wizji Rysia.

– Schlebiasz mi. Przecież to, co zastałaś nie było zabawne. Nie miałam pracy, moje małżeństwo wisiało na włosku. Sama wiesz jak było.

– Wiem, ale to przeszłość. Rozmawiałam ze swoim znajomym w Sewilli, jeśli senior Diego się zgodzi, można tam zrobić drugą premierę.

Patrzyłam na tę dziewczynę i oczarowała mnie. Przestała mówić jakimś dziwnym akcentem. Udawała, czy się zmieniła? Była piękna, mądra i też wiedziałam, że w tej znajomości jest coś więcej.

– Proszę się zgodzić. Wiem, że to szansa – powiedziała z pięknym uśmiechem. Patrzyłam na nią zupełnie inaczej.

– Dziękuję Marysiu, chodźmy. Na pewno porozmawiam.

Opowiedziałam wszystko Mateuszowi i Diego. Szansa była niebywała, bo codziennie, ktoś dzwonił i pytał o premierę. Wiedzieliśmy, że to możliwe. Zrobiliśmy sesję zdjęciową dla prasy. Wyszła pięknie. Było coraz lepiej. Zostaliśmy w Bzowie i grillowaliśmy. Patrzyłam na nas wszystkich i byłam naprawdę szczęśliwa. Rozmawialiśmy wyłącznie o spektaklu. Snuliśmy plany i marzenia. Nasi sponsorzy nie zawiedli. Postanowiliśmy rozłożyć czerwony dywan na premierze i zaprosić znakomitości. Otwieraliśmy sobie nową drogę i nowe możliwości. Diego szalał ze szczęścia. To niebywałe, jak ludzie potrafią okazywać radość. Ci, co nie potrafią, niech żałują.

Zawsze myślałam, że te pozytywne bzdury o zmianach w życiu o nowych możliwościach nigdy się nie spełnią dla mnie. To pół roku, które spędziłam bez pracy, w domu, ze swoimi książkami, ze swoimi myślami, z feng-shui, jogą sprawiły, że nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam to robić. Byłam jakaś inna. Polubiłam siebie taką. Chyba chcę się zmieniać. Tak myślę. No i co z tego, że już dawno skończyłam czterdziestkę. Patrzyłam na szczę-

ście Diego, Marceliny i Lilki. Marysia... Hmm... Dziwna sprawa, coraz bardziej lubiłam tę dziewczynę. Rysiu...pan od WF-u, który rozmawia ze zwierzętami... Po co? A jeśli naprawdę rozmawia? Hmm... Borzęcki, bardzo przystojny się zrobił, odkąd zaczął spotykać się z Lilką. Aktorzy, którzy będą grali w tym spektaklu, to strzał w dziesiątkę. Nie „gwiazdorzą”, a to rzadkość w tych czasach. Same znane twarze. Super uczucie. Opuściłam te wszystkie spięcia i ciśnienia. Było mi dobrze ze sobą. Dawno tego nie czułam i było warto podjąć te wszystkie wyzwania.

*

W dniu premiery mój mąż po raz pierwszy wiedział w co się ubrać. Zaplanował to wcześniej. Próby odbywały się bardzo sprawnie, więc wszystko było dopięte na ostatni guzik. Jak koszula Mateusza. Krawacik i gotowe. Przestał używać żelu, więc wyglądał jak człowiek. Ja miałam problem. Trzy kreacje i nie miałam humoru. Nie wiedziałam co założyć.

– Mateusz, spójrz, ten dekolt – może być?

– Hello, mniamniuśnie – dotknął moich piersi. Ostatnio często to robił.

– Zapięłeś rozporek, żeby jakaś pani nie chciała oglądać twojego konika?

– Nie, czekam aż ty to zrobisz – zapięłam. Ostatnio często, to robiłam.

Faktycznie foch był niepotrzebny, bo wyglądałam naprawdę zabójczo.

– Boisz się? – zapytałam Matiego.

– Czego mam się bać? Premiery. Czy wszystko pójdzie jak należy. Czy się Rysiu nie przewróci w tańcu? Czy dopisze publiczność? Tak w ogóle...

– Ela, wiem, że to nowe doświadczenie. Jestem ciekawy efektu. Widziałas moje soczewki?

– Nie.

– Nie wiem, gdzie położyłem.

Byłam równie ślepa jak on. Więc szukałam swoich. Leżały przy łóżku.

– Tu są moje, a te obok to twoje? Czy odwrotnie?

– Elka, tyle razy mówiłem, nie dotykaj paluchami. I jak się w nocy rozbierasz, to pamiętaj, gdzie kładziesz.

– Twoje leżały koło moich, nie odwrotnie, więc to ty kładź na swoim stoliku. Obok swojego łóżka.

No takie tam, wiecie, małżeńskie ble, ble. Ale naprawdę, wszystko się zmieniło. Zeszliśmy na dół do salonu, a tam Marysia i Rysiu, po prostu szła. Wyglądali nieziemsko.

– Marysia, to ty? – zapytał Mateusz.

– Piękna, prawda? – sprzedał mądrość Rysiu.

– I to jak! – dokończył swój zachwyty Mati.

Już nie byłam ani trochę zazdrosna, bo naprawdę dużo się zmieniło. Jej piersi wyglądały niebywale dobrze w tej kreacji. No i co z tego?

– Panowie, gotowi? – zapytałam.

– Jasne. Chodźmy – odparł Mati.

Wsiedliśmy do samochodów i podjechaliśmy po Kwiatkowskich.

– Marcelina, to ty? – zapytał Mati, zachwycając się jej wyglądem.

– A kto, bracie. Moja żona. Piękna, prawda? – odrzekł Diego.

Sam wyglądał równie mniamniusnie. Poprzyglądaliśmy się sobie, wymieniliśmy zachwyty i podjechaliśmy pod teatr. Czerwony dywan leżał.

– Rany, jaki tłum! – oniemiałam z wrażenia.

Było już mnóstwo gości. Lilka z Borzęckim pozowali do zdjęć. Paparazzi, telewizja, wywiady. Wsiedliśmy z Mateuszem z wypożyczonej limuzyny. Był zachwycony, jego marzenie się spełniło.

– Pani Elu! – usłyszałam. – Proszę do nas – prezes innej stacji telewizyjnej stał, krzyczał i machał ręką. Podeszliśmy z Mateuszem. – Pani Elu – przywitał się prezes – przedstawiam producenta z BBC, jest zainteresowany

współpracą.

– Jak to? Przecież jeszcze nie widział premiery.

– Współpracą z panią.

– Nie rozumiem – bo naprawdę nie rozumiałam.

– Pani reportaż o mobbingu Wyspiańskiego, dotarł za granicę. Skontaktowali się ze mną, bo wiedzą, że się znamy.

– I co miałabym pokazać? – zapytałam chyba głupio.

– Nic. Tylko chodzi o wywiad.

– Jak o wywiad, to się zgadzam. Porozmawiajmy o tym po premierze. Dobrze?

Złapałam Mateusza za rękę i przeszliśmy czerwonym dywanem w światłach fleszy. Usłyszałam czyjś komentarzyk z boku:

– Ale fajne, małe cycuszki.

Byłam zadowolona, sukienka zrobiła wrażenie. Przywitały nas w teatrze szampany i świetna muzyka, którą skomponował Borzęcki. Byłam zachwycona. Usiedliśmy w fotelach i czekaliśmy na podniesienie kurtyny.

– Chipsa? – zaproponowała hostessa.

– Dziękuję, ale nie przełknę – odpowiedziałam i obgryzałam ze zdenerwowania skórki na paluchach.

– Wyluzuj – zauważył moje zdenerwowanie Mati.

– Nie mogę. Cała się trzęsę.

– Ja też, ale to nie powód, żeby obgryzać paznokcie. Jak to wygląda?

– No już dobrze. Złap mnie za rękę – wybrzmiał trzeci dzwonek i podniosła się kurtyna.

Na scenie stali Diego i Lilka. Wygłosili tylko przemówienie, a brawa były takie jak po premierze. Powiem tylko tyle. Szał.

*

Spektakl super! To będzie hit. Długo staliśmy i nie mogłam przestać klasnąć.

– Pięknie! – krzyczałam.

– Bis! – dokładał Mati.

– Bis! – krzyczała cała sala – Autor! Autor!

Wyszła Lilka na scenę i wzruszenie ścisnęło mi gardło. Zaczęłam płakać. Opowiadała o madre, padre w sensie Diego, jako producencie. Nie ściemniała, więc miałam powód do płaczu. Zawsze szydziłam z takich podziękowań, a dzisiaj byłam dumna. Propozycje sypały się jak z rękawa. Diego i Mateusz długo przeprowadzali rozmowy.

Nagle, ni z tego ni z owego, zobaczyłam koło siebie Almodovara, byłego naczelnego.

– Pani Elu, przepraszam, pojawiłem się, bo chciałem zrobić film na podstawie scenariusza tego spektaklu. W niemieckiej kooperacji.

– A kto miałby zagrać główne role? – zapytałam. Oczywiście wiedziałam, że człowieka ruszyło sumienie.

– Obsada filmu „Seksowne zaćmienie”, za który jestem nominowany do nagrody, takiej tam w Niemczech. Film jest o tym, że dwoje młodych ludzi zakochuje się w sobie...

– Pobierają się na końcu? – zapytałam.

– Nie – odrzekł – bo on był z Brazylii, a ona nie.

– Szanowny panie Stanisławie – chciałam, żeby to była nasza ostatnia rozmowa w życiu – miłość w pana rozumieniu, to żenada. Dlatego, proszę kontynuować swoje prace w sposób na jaki pana stać. Do dzieł w pana wykonaniu, nie pożyczylabym nawet swojego konia. Przykro mi, ale muszę się pożegnać. Czekają na mnie goście – odeszłam i czułam, że ten facet jest po prostu zboczony.

Podszedł do mnie Mateusz.

– Wszystko w porządku?

– Jasne. Objęliśmy się.

– Ela, wyjedźmy gdzieś. Gdzie tylko będziesz chciała.

– Chcę pojechać do Brazylii – przytuliłam Matiego najmocniej, jak mogłam.

– Mówisz masz, kochanie. Pojedźmy z Kwiatkowskimi na Kubę, wybierają się do rodziców Diego.

– Kocham cię. Chcę – i to jak chciałam.

*

Nie muszę nikomu mówić o tym, co się działo tej nocy. Podziękowaniami i zachwytem nie było końca. Obeszło się bez wina.

Czasami polecam.

Donia Ela.

ODCINEK X

Kubanosy

Z tym BBC, to nie była ściemka. Ale zamiast kretyńskich wspomnień o mobbingu, zaproponowałam im licencje na program „Łózkowe rewolucje”. Pomysł się spodobał, więc jako stacja telewizyjna również zaczęliśmy się rozwijać. Postanowiliśmy z Mateuszem naprawdę odpocząć.

*

– Mateusz, co robisz?

– Robię listę przed wyjazdem.

Jechaliśmy z Kwiatkowskimi na Kubę, do Hawany. Zaproponowali nam to już jakiś czas temu, ale to był najlepszy moment, żeby spełnić swoje marzenie o wyjeździe. Od siedmiu lat byliśmy tak zapracowani, że nikomu nie chciało się jechać dalej niż na Mazury. Zapomnieliśmy już, jak to jest szykować się wspólnie w taką podróż. Mateusz był strasznie podekscytowany takimi wypadami. Najgorsze w nim było to, że miał jakąś kolejną fobię, która dotyczyła głodu w podróży. Szykował sobie sam jedzenie i chował w różne miejsca. W każdą torbę, która była pod ręką, w kieszenie kurtki. Kamuflował tak, żebym nie widziała. Zawsze mnie to wkurzało. Patrzyłam na niego i wie-

działam, że muszę przy tym być.

– Co napisałeś?

– Chodź i pomóż mi.

– Pokaż karteczkę – były dwie kartki formatu A4. – Proszę cię. Chyba żartujesz. Lecimy samolotem. Ktoś, to będzie musiał dźwigać.

– Dobrze, skreśl co chcesz – oczywiście foch.

Skreśliłam. Została jedna karteczka, malutka.

– Co zabieramy do jedzenia na drogę? – w końcu zapytał.

– Żadnych kanapek. Na lotniskach są bary.

– Weź chociaż ze dwie kanapki dla mnie – poprosił błagalnym tonem.

– Mateusz, zaklinam cię. Zawsze to samo. Potem nie wiesz, co śmierdzi w walizkach, bo tego nie jesz.

– Nie jem? Kiedy tak było?

– Zawsze, od dwudziestu pięciu lat.

– Zabierzmy chociaż kabanosy.

– Na Kubę, to chyba kubanosy.

– He, fajne – rozbawił się mój mążzonek – to świetny pomysł. Dwa kilo węz. Obiecuję, że żadnego potem nie znajdziesz w walizce.

– He, fajnie. Bo ostatnio wyrzucałam z twojej walizki kilo kanapek i kilo majtek, bo wszystko było w maśle.

– Jestem dorosły Elżbieto i życzę sobie doświadczyć kubanosy tym razem.

– Ok, dogadaliśmy się.

– Najbardziej suche, kup. Poproszę, oczywiście. Nie patrz tak.

Jechaliśmy do Hawany. Tam mieszkali rodzice Diego. Widziałam ich zdjęcia. Pokazywał mi je Chan. Ojciec miał sporo ponad osiemdziesiąt lat

i był niskim, bardzo sympatycznym staruszkiem, mama postawna i młodsza od taty i do tego bardzo piękna. Żyli skromnie. Maleńki domek otoczony pięknymi wijącymi się kwiatami. Hodowali osiołki. Urocze. Przeglądałam informacje w komputerze, przygotowywałam się do tego co, gdzie można zobaczyć. I koniecznie chciałam sprawdzić dojazd do plaży. Chociaż Kuba to wyspa, w którą stronę byś nie pojechał, to w końcu wyjedziesz na plażę.

– Zobacz, jaki mają fajny herb – Mateusz dosiadł się do mnie, oglądaliśmy herb Hawany i poczytaliśmy trochę historii. – Trzy zamki, klucz, ale nie napisali co oznacza.

– Zobacz tu, maleńka, rozwinięty przemysł tytoniowy, chyba nie wrócę.

– Żadnych rozmów o pracy. Spójrz Omara Portuondo, wiesz ta z Buena Vista Social Club. Boże, ona urodziła się w trzydziestych latach. Chce ją poznać i zrobić wywiad.

– Żadnych rozmów o pracy.

– Spójrz jak oni pięknie razem wyglądają.

– Kto?

– Omara i jej mąż. Tyle lat razem. Tyle ze sobą przeszli i dalej razem koncertują. Mateuszkę...

– Co?

– Chcę ją poznać.

– Jak, dziecino?

– Niech Diego coś wymyśli.

– Też chciałbym go poznać i zapytać co palił, że tyle wytrzymał z jedną kobietą?

– Świetnie. O której ten samolot?

– Elka, jutro o szesnastej. Ogarniaj temat kabanosów i całą resztę.

Tak naprawdę wszystko było ogarnięte, dzięki Marysi i Rysiowi. Patrzy-

łam na nich i postanowiłam, że po powrocie im się pomogę ogarnąć. Marnowali się. Na premierze zatańczyli tak, że chlipałam bez wstydu. Z dumą patrzyłam na nich. Nie wiedziałam jeszcze, co zrobię, ale wiedziałam, że coś wymyślę.

*

Wsiedliśmy do samolotu. Przespałam całą drogę, bo nie lubię latać.

– Seniora – usłyszałam.

– Si – spojrzałam i zobaczyłam przed sobą ojca Diego.

– Lubię kabanosy – powiedział.

– Si, ja też – odpowiedziałam. Włożyłam rękę do torby, wyjęłam kabanos sztuk jeden i podałam padre.

– Seniora, dobre. Ale niedobrze zabijać osiołki.

– Kabanosy są z osiołków? – zapytałam.

– Si. Mogę jeszcze?

– Nie!

– Sam wezmę – sięgnął ręką do torby i widziałam jak rządzi kabanosami mojego Mateusza.

*

– Elka, obudź się. Gadasz przez sen po hiszpańsku – obudził mnie Mateusz.

– Rany, śniły mi straszne głupoty.

– Gdzie schowałaś kabanosy?

– No, nie. W walizce. Przestań.

Przeciskaliśmy się do przejścia. Wsiedliśmy. Diego uklęknął i ucałował swoją ziemię. To był chyba jakiś rytuał. Wsiedliśmy do taksówki, widok był niesamowity. Piękny kraj, piękne miejsce. Palm nie brakowało. Stare budow-

le, małe domki, wąskie uliczki, stare samochody. Nie widziałam nigdy podobnego miejsca. Dojechaliśmy do domu Diego.

– Padre, hola! – krzyknął Diego.

Znałam hiszpański, więc hola, oznacza „witam”.

– Hijo! – dobiegł padre i krzyknął „synu”.

Witaliśmy się i poznawaliśmy. Mieliśmy z nimi spędzić pięć dni. Mateusz wymyślił, że będziemy jednak spać w hotelu. Mieszkanko, było naprawdę małe, więc ciężko byłoby nam się pomieścić. Usiedliśmy z rodzicami Diego. Siłą rzeczy przyglądałam im się. Nie wszystko rozumiałam, ale wiedziałam, że tęsknili za sobą bardzo. Postanowiliśmy z Mateuszem poszukać hotelu. Zostawiliśmy walizki i poszliśmy na spacer.

– Mateusz, zobacz, knajpka Havana, chodź – weszliśmy do małej, przytulnej restauracji.

Znaliśmy potrawy kubańskie tylko z przepisów. Zamówiliśmy świeżo wyciskany sok z trzciny cukrowej, z szacunku do padre, bo pracował z żoną na plantacji trzciny i kubańskie picadillo, duszona siekana wołowina z cebulą i pomidorami. Wzięłam przepis, gdybym jeszcze kiedykolwiek miała zrobić własny program „Rece, które potrafią gotować” i pisałam:

- *1/4 szklanki oliwy*
- *1 posiekana cebula*
- *8 startych ząbków czosnku*
- *3 listki laurowe*
- *1 kg mielonej wołowiny*
- *1 puszka / 450 ml / pomidorów w zalewie*
- *po 3/4 szklanki rodzynek i oliwek*
- *faszerowana papryka*
- *1/4 szklanki koncentratu pomidorowego*
- *1-2 łyżeczki czerwonego octu winnego*
- *1 łyżeczka chilli*

- *szczypta pieprzu kajańskiego*
- *sól i pieprz*

Rozgrzej oliwę, włóż cebulę, czosnek i listki laurowe. Duś 5 minut. Cebula powinna się zeszklić, ale nie przyrumienić. Teraz dodaj mięso. Smaż około 7 minut, rozdzierając grudki widelcem. Dodaj pozostałe składniki, duś 8 minut. Przypraw solą i pieprzem, wyjmij listki laurowe. Podawaj na ciepło.

– Mateusz, wezmę jeszcze przepis na...

– Elka, kup sobie książkę kucharską. Nie gotujesz całymi latami, robią to za ciebie inni. Twoje fasolki po bretońsku były koszmarne. Fajnie, że się rozwijasz, ale zostaw to innym.

– Camarero! – zawołał kelnera Mateusz. – Cygaro!

Kelner podał cygaro i ulotkę. Mateusz wziął ostentacyjnie i zapalił.

– Przeczytaj kobieto, co tam napisali.

– Napisali jak się tworzy kubańskie cygara.

– Jak?

– Trzeba przejść pięcioletnie szkolenie. Wybiera się najlepszych.

– A widzisz, pomyślę kiedyś o produkcji cygar.

Aromat kawy przypominał również zapach kubańskich cygar.

*

Przed restauracją siedzieli przy małym stoliku mężczyźni, którzy grali w kubańskie domino. To był charakterystyczny widok. Tak spędzają tam czas. Postanowiliśmy jeszcze tu zajrzeć. Wsiedliśmy do czerwonej Łady. Pamiętacie jeszcze taką markę samochodu? Jeździliśmy dziwnymi uliczkami, gdzie życie tętniło nieznanym nam rytmem, zupełnie inaczej. Dzieciaki dobiegały bez przerwy do naszego samochodu, krzyczały, uśmiechały się i były upierdliwe przez cały pobyt. Znaleźliśmy hotel. Zamówiliśmy pokój i wróciliśmy do domu Diego po rzeczy. Był już wieczór. Wrzało w ich domu. Muzyka lati-

no na full i tańczący padre z Marceliną. Byli już co najmniej po jednej butelce rumu. Razy dwa. Przyłączyliśmy się. Wyjęłam z torby naszą wódkę i kabanosy.

– Daj jednego – powiedział po cichu Mateusz.

– Ogłady! Jadłeś niedawno – burknęłam, bo ta jego przypadłość doprowadzała mnie do szału.

– Chodźcie tańczyć! – krzyknęła madre.

Mateusz rozpiął koszulę, bo upał był taki, że nie szło wytrzymać i salsowaliśmy. Kiedy wyciszyliliśmy muzykę i emocje, usiedliśmy do stołu.

– Co to? – zapytał padre, wskazując na kabanosy.

– To kiełbasa podobna do chorizo, tylko bardziej sucha – objaśniał Diego.

– Mogę? – zapytał padre.

– Tak, oczywiście – wyrwał się Mateusz.

– Miguel – powiedziała gospodyni, tak miał na imię ojciec Diego. I gestykulowała dłońmi przy swojej twarzy. Coś mówiła o zębach. Trwało to chwilę.

– Kobiety są jak kosmos, nie ogarniesz – powiedział senior Miguel i ugryzł kabanosa. Ugryzł, to za dużo powiedziane. Nie dał rady. Przeżuwał i pytał.

– To z osiołka?

Patrzyłam nie tylko ja i wszyscy wybuchaliśmy takim śmiechem, że wszedł sąsiad, który przechodził ulicą i pytał, czy wszystko z nami w porządku.

– Si! – krzyknął Miguel i poczęstował kabanosem sąsiada w podobnym wieku.

Nie dał rady. Zawołał kolegę, który siedział przy kubańskim domino, po

drugiej stronie ulicy. I tak poszło dwa kilo kabanosów, bez udziału Mateusza. Które wszyscy wypluwali i częstowali kubańskie koty, bo nie dawali rady.

*

Wróciliśmy do hotelu. Był malutki przytulny i, o zgrozo, pełno w nim latało małych jaszczurek. A tego nie lubię. Pozasłaniałam okna, na szczęście były zabezpieczone siatkami. Położyliśmy się z Mateuszkiem grzecznie spać. W piżamkach w palemki. Wyglądaliśmy koszmarnie. Mateusz bardziej.

– Elka, śpisz?

– Nie.

– Chciałbym mieć kiedyś tyle lat, co oni.

– Ja też.

– Kochasz mnie?

– Pewnie głuptasie.

– Ja kocham równie mocno kabanosy. Na starość nie pojem.

– Pomogę ci przeżuwać. Nic się nie bój.

– Obiecujesz?

– Pewnie, śpij.

*

Rano zwiedzaliśmy z Diego Hawanę. Trafiliśmy do dzielnicy Cayo Hueso. Szliśmy dłuższą chwilę w milczeniu. Diego był mocno podekscytowany, widziałam to na jego twarzy. Przed małym domkiem siedziała para ludzi w starszym wieku i grali w domino. Otoczeni kwiatami, które pięły się za ich plecami.

– Karamba, Diego! – krzyknął mężczyzna.

– Papi! – odwzajemnił Diego.

– Bienvenidos Amigo! – to znaczyło witaj przyjacielu.

– Nie, nie to niemożliwe – powiedziałam do siebie.

– Omara! – przywitał się z kobietą Diego.

– Możliwe – powiedziałam znowu do siebie. Bo odkąd oglądałam brazylijskie seriale, miałam taką przypadłość.

– Poznajcie się – przedstawił nas sobie Diego.

To był najpiękniejszy dzień w moim życiu. Poznałam Omarę Portuondo, legendę Buena Vista Social Club. Dowiedziałam się wszystkiego. Co to była za historia. Łzy cisnęły się same do oczu. Pierwsze jej płyty ukazały się w latach pięćdziesiątych a popularność zdobyła, czterdzieści lat później. Kiedy amerykański reżyser postanowił zrobić film o niepowtarzalnej historii Klubu Buena Vista. Zawsze fascynował mnie ten temat. Chcę zrobić z nią wywiad. Muszę. Rozmawialiśmy cały dzień. Spacerowaliśmy wspólnie po Hawanie i wstąpiliśmy ponownie do Klubu HAVANA. Wszyscy wstali i klaski na widok legendy. Nikt nie był obojętny. Diego już jako oficjalny producent spektakli zaprosił Omarę i Papi, który całe życie był jej gitarzystą i mężem, ponownie do Polski. Wszystko było domówione. Papi wstał, wziął ze sceny gitarę i zaśpiewaliśmy wspólnie najpiękniejszą piosenkę na świecie „Dos gardenias para Ti”. Mateusz wyrywał się do bisów, bo nie znał hiszpańskiego, więc wieczorkiem będę musiała siedzieć z nim w piżamie w palmy i opowiadać całą historię.

– „Chan-Chan”! – krzyczał Mateusz.

Zaśpiewali dla nas również „Chan-Chan”. W klubie zrobiło się tak tłoczno, że nawet tego nie zauważyłam. Musieliśmy iść. Mateusz już nie pytał co palił Papi, żeby przetrwać tyle czasu z jedną kobietą. Rodzice Diego, Omara, to jak żyją, kim są, sprawiło, że scementowaliśmy z Mateuszem nasze relacje. Chcieliśmy żyć ze sobą do końca świata. Obiecywaliśmy to sobie, grając przed hotelem w kubańskie domino i karmiąc jaszczurki okruszkami z torby podróżnej, w której mieliśmy zakamuflowaną, jedną buteleczkę rumu dla siebie.

*

Powrót do Polski był trudny. Odpoczęłam w taki sposób, że zapomniałam o bożym świecie. Leciałam samolotem, patrzyłam na chmury i myślałam o sobie. Postanowiłam poukładać swoje życie. Czułam, że za dużo w nim chaosu. Wpadłam po półrocznej przerwie w wir pracy w taki sposób, że zmęczenie dawało znać o sobie. A przecież jestem dawno po czterdziestce. Marzyłam o SPA, tak po prostu. O masażach, o kąpielach błotnych i niestety zobaczyłam w głowie napis stacji telewizyjnej. Wiedziałam, że nie odpocznę.

– Elka, zobacz co znalazłem w swojej torbie – Mateusz otworzył torbę żeby wyjąć laptopa.

– Co tak śmierdzi?

– Co? Zobacz, jaszczurka.

– Mateusz, pytam co tak śmierdzi?

– Co?

– Jajco. Głuchy jesteś?

– Oj tam. Kanapki.

Mała kubańska jaszczurka siedziała na polskiej kanapce, którą Mateusz przygotował sobie ukradkiem tydzień temu na podróż. Wyjął z dna torby dwa kabanosy, które zakamuflował dla siebie.

– Chcesz? – zapytał z głupawym uśmiechem.

– Daj.

Wyjął laptopa i otworzył stronę o produkcji cygar. Otworzyłam swojego laptopa na stronie „Rozwój osobisty”.

– Nie chcę odpoczywać – powiedziałam do siebie po cichutku pod nosem, w brazylijskim stylu, żeby nie było, że gadam do siebie.

– Coś mówiłaś? – zapytał Mateusz.

– Nic.

– Cholera, taki biznes to niezła gratka – powiedział do siebie Mateusz po

cichutku.

– Do osiemdziesiątki zostało trzydzieści lat – powiedziałam znowu do siebie i kliknęłam enter.

– Kocham ten biznes – kontynuował Mateusz, rozmowę ze sobą.

– Nie chcę się nad tym zastanawiać teraz – mruczałam pod nosem.

– Elka, chcesz? – Mateusz wyjął kolejne kabanosy, więc nawet nie było jak gadać.

– Ela – przeżuwał Mateusz i zbliżył się do mnie ustami – a jakby za chwilę była katastrofa, to co byś mi chciała opowiedzieć z pikantnych szczegółów naszego życia. Powspominajmy.

– Mateusz, jadłeś picadillo, a tam się wkłada osiem ząbków czosnku.

– Ja bym powiedział tak: pierożki z kapustą – popatrzył na mój biust i sięgnął po kolejnego kabanosa.

– Idę do toalety – powiedziałam tak, bo nie mogłam słuchać jego ciamkania.

Weszłam do toalety, ale tylko po to, żeby się przejrzeć w lustrze i powiedzieć do siebie:

– Do osiemdziesiątki nie dam rady.

Usłyszałam cichutkie pukanie. Mateusz wślizgnął się do toalety. I zaczęliśmy się kochać. Popatrzyłam na siebie w lustrze i powiedziałam do nas:

– Damy radę.

ODCINEK XI

Enamorada – zakochana w życiu z wzajemnością

W ostatnim odcinku brazylijskich seriali zawsze wszystko się wyjaśnia. Kto kogo kocha naprawdę, kto jest czyim ojcem, bratem, siostrą i zapłaci ostatnią ratę za dom. Zawsze chciałam wiedzieć, kto pisze scenariusze takich seriali. Po serialu o Oreiro Manchego, ukazał się nowy brazylijski serial „Enamorada”, po polsku to znaczy „zakochana”. Po obejrzeniu siódmego odcinka wyglądało na to, że ktoś chyba przeczytał książkę mojego Mateusza i zrobił z tego serial. Bohaterowie byli podobni do nas, ich życie również. Oglądając trzydziesty odcinek pomyślałam głupio, że gdybym tak żyła, to chyba zapisałabym się na poważną terapię.

Siedziałam i zastanawiałam się nad nami. No nade mną i Mateuszem. Ale nasz terapeuta, Krzyś, przecież już nas badał, testował i skasował kupę szmalu za to, że mieliśmy problemy. Wiedziałam, że nasze życie to taki chaos, który czasami trudno ogarnąć. Może lepiej będzie jak sami o tym porozmawiamy. W którąś niedzielę postanowiliśmy z Mateuszem podsumować na-

sze życie i zastanowić się czego tak naprawdę oboje potrzebujemy. Chcieliśmy się rozwijać oboje. Trzeba było od czegoś zacząć. Czyli od oczyszczenia atmosfery. Powiedzenia sobie co nam przeszkadza w naszym związku, a co pomaga.

Marysia wniosła kawę. Rozsiedliśmy się wygodnie. Wzięliśmy zeszyty, każdy swój i długopisy, które dostaliśmy od Kwiatkowskiej. Postanowiliśmy zapisywać wszystko to, co było dobre w naszym życiu i wszystko to, co chcieliśmy zmienić. Taki prywatny coaching. Terapia znaczy. Mateusz „przywaniaczył”, czułam, że nie będzie wiedział, jakie pytania zadawać, więc obłożył się książkami z psychologii. Ja też nie wiedziałam, o co pytać. Przed naszym spotkaniem na kozetce, wysłuchałam afirmacji jakiegoś buddy, bo przecież od pół roku ćwiczyłam jogę. Niewiele to dało, bo chodziło o całość mojego życia, a nie tylko o jego fragment związany z Mateuszem. Ja nie opisałabym miłości, nie potrafiłabym. A ci wszyscy mędrcy potrafili. Tylko na czyje potrzeby? Czasami mam wrażenie, że na swoje własne.

A więc postanowiłam ułożyć własny plan i stworzyć własne definicje. Wiedziałam, że mój mąż, jak każdy facet, wstydzi się i boi takich rozmów. Miał coś w rodzaju erytofobii, lęku przed wstydem i rumieńcem. Chociaż robił się buraczkowy w rozmowach z kobietami. Masakra, że można zdefiniować każdą myśl i nazwać to lękiem przed czymś.

– Ela, zaczynamy? – zapytał Mateusz – bo włączę telewizor.

Spojrzałam na niego. Sam chciał zacząć rozmowę. A więc to oznaczało, że ja się boję?

– Tak kochanie jestem gotowa – powiedziałam bez przekonania.

– Otwieraj zeszyt, bo mam parę pytań do ciebie.

– Tak, słucham.

– Rozluźnij się. I wyrzucamy z głowy śmieci na nasz temat – nacisnęła długopis Kwiatkowskiej i pytał.

– Jakie masz negatywne myśli na mój temat? – zapytał, nie otwierając

żadnej książki.

– Najbardziej przeszkadza mi w tobie... – zaczęłam i spojrzałam w notatki – że nie potrafię zaakceptować tego, że zostałam zwolniona z pracy i siedziałam pół roku w domu przed telewizorem. Patrzył na mnie i nie rozumiał.

– Czy to jest bardzo negatywna myśl z przeszłości?

– Bardzo – odpowiedziałam.

– To musisz ją zmienić.

– Co?

– No swoją negatywną myśl. Musisz zmienić na pozytywną. Pisz: Wierzę, że mój Mateusz, kiedy zostałam zwolniona z pracy, wspierał mnie i kochał jak tylko potrafił. A teraz powtórz.

– Co?

– Przeczytaj na głos i afirmuj tę myśl, przez dwadzieścia jeden dni. To pomaga i przekształca myśl negatywną w pozytywną.

Był przygotowany. Powtórzyłam na głos i oblałam się rumieńcem.

– Teraz ty, Mateusz.

– Podstawową pracą nad sobą jest mowa ciała – byłam w szoku, przemawiał jak Kwiatkowska. – Od dziś proszę cię, żebyś zakładała biustonosz.

– Mateusz, to bez sensu.

– Wiem.

– Nie chcę, żebyś się zmieniał.

– Chcesz. Tylko nie wiesz jak nazwać myśli. Ela, na jakim etapie życia jesteśmy?

– Chcę poukładać tylko chaos, jestem zmęczona. Tak to czuję.

– Kochanie, czego dotyczy ten chaos, bo nie wiem.

– Całości?

– „Jeśli kochasz całość z powodu tego, co szczególne i jeśli kochasz to, co szczególne, a zakochana jesteś w całości. Oto prawdziwa miłość”. Przeczytałem myśli twojego buddy.

– Nie mam do ciebie więcej pytań – rzuciłam zeszyty i długopis.

– To włącz telewizor.

Właśnie szła „Enamorada”.

– O, nasza Carmen – skomentował Mateusz.

– Faktycznie.

Fragment był o tym, że służąca okazała się dziewczyną, której można zaufać i powierzyć jej stanowisko w firmie głównej bohaterki.

– No tak. Ale to brazylijski film. Widziałeś u nas takie rzeczy?

– Widziałem. W naszym życiu z parę razy. Ela, przecież Marysia jest nie po byle jakich studiach, ma doświadczenie. Praca z dziećmi wcześniej, no to co. Zrób z niej swoją sekretarkę. Ona nie może się marnować klejąc pierogi.

– Wiesz, że to dobry pomysł?

– Pewnie, że tak. Nie zawiedziesz się, zobaczysz.

*

Poprosiliśmy Marysię i Rysia do siebie. Rozmowa była krótka. Zgodzili się oboje. Marysia zaczyna od jutra. To oznaczało kolejne zmiany. Wyprowadzili się od nas dwa dni później. Wynajęli przytulne mieszkanko i wszystko zaczęło się jakoś układać w ich życiu. Próbowałam sama kleić pierogi z mięsem, ale nie wychodziło. Mateusz był bardzo z Ryśka zadowolony. Marysia po miesiącu była świetna. Pomysł z brazyliady sprawdził się. Nasze życie potoczyło się fantastyczną ścieżką. Wszystkie terapie, o których rozmawiałam z Mateuszem zastąpił jedną. Terapią seksem. Wydawała się przyjazna i najbardziej skuteczna. Jednego wycisza grabienie liści, kogoś innego afirmacja.

cje, a nas wyciszał seks. Padaliśmy po nim ze zmęczenia i nikt nie zadawał zbędnych pytań. Tylko czy te efekty będą trwałe? Lilka odniosła wielki sukces swoim spektaklem. Diego stanął na wysokości zadania, był świetnym producentem. To nie przeszkadzało mu we wspieraniu Marceliny w biznesie dystrybucyjnym. Znaleźliśmy w końcu prawdziwą służącą z referencjami i z własną książką kucharską. Była w drugiej dziesiątce w finale programu „Ręce, które potrafią gotować”. Nie wszyscy muszą być najlepsi.

*

Zadzwoiła któregoś dnia Omara Portuondo. Chciała, żeby nasza stacja zrobiła o niej i o Papim film. Zaczęłam wyjeżdżać, co wcześniej przepowiedział Rysio. Nadawaliśmy nasze programy w kilku krajach. Pojechałam po Omarę na Kubę. Chciałam zobaczyć ten kraj jeszcze raz. Mateusz zaczął produkować cygara. Byliśmy bardzo zajęci i coraz bardziej w sobie zakochani. Kochaliśmy całość. Wszystko co dotyczyło naszego życia. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

*

Zanosi się na to, że „Enamorada” będzie trwać i trwać bez końca. Chciałabym wiedzieć, co będzie w ostatnim odcinku. Jestem naprawdę szczęśliwa. Musiałam do tej myśli dojrzeć, zaakceptować swoją brazyliadę. Wiem, że dam radę do osiemdziesiątki. Nawet jeśli są pułapki w pozytywnym myśleniu, to chcę tak myśleć. Nareszcie Kocham życie z wzajemnością.

Polecam.

Donia Ela.

ENAMORADA
PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ...

ODCINEK 250

My

JA , MATEUSZ I ADELA

Nasze terapie seksem sprawiły, że jakimś cudem zaszłam w ciążę i urodziłam piękną córkę. Ma na imię Adela. Dziś ma cztery lata. Właśnie są jej urodziny i postanowiliśmy z Mateuszem, że zaprosimy na nie naszych przyjaciół.

– Adelka, co robisz? – krzyknęłam do mojej córki z kuchni.

– Oglądam z tatą „Enamoradę”.

– Co się dzieje, opowiadaj.

– Nic, ta pani, co wczoraj wyszła za mąż, uciekła na koniu.

Wczoraj było tydzień temu.

– Mateusz płaczesz, czy możesz mi pomóc?

– Jasne kochanie, już idę – odpowiedział mój małżonek.

– Cześć, daj buziaka – tak się witaliśmy już codziennie, po kilka razy.

– Mati chodzi mi tylko o to, żebyś sprawdził czy torty dojadą na czas –

zadzwoń proszę.

– Gdzie masz numer?

– W telefonie.

– Coś jeszcze, Elu?

– No, baloniki, czapeczki i te sprawy. I przebierańce. No wiesz, aktorzy.

– Dobrze. Już się robi.

Magdalena, nasza nowa służąca, była genialna. Bez niej nie dałabym rady. Opiekowała się również Adelą.

– Magdusiu, zaopiekuj się małą, dobrze? Ja tu skończę, sprawia mi to wielką przyjemność. To szczególny dzień – oblizałam paluchy z bitej śmietany.

– Tylko niech pani nie wyje całej śmietany.

– Żartujesz?

– Nie żartuję, znamy się już trochę.

– Magda, ciesz się, że nie znałyśmy się wcześniej, bo mogłabyś się nazywać zupełnie inaczej.

– Jak?

– A jakbyś chciała?

– Tak jak ta z „Enamorady” – Aldonza.

– Ta wielka, gruba służąca?

– Lub też nawet Delfina, jak kochanka Alehadra.

Oglądałyśmy od pięciu lat wspólnie „Enamoradę”, znałyśmy każdy szczegół. Do kuchni wszedł Mateusz.

– Ela, mam dla ciebie bardzo smutną wiadomość, Alejandro uciekł do Ernesta.

– Gadasz? Był gejem?

– Nie. Do przyjaciela swojego. Bo ta jego żona uciekła.

– Aha. Wyłącz ten telewizor. Każdy zrobił co miał do zrobienia i całą trójką poszliśmy na górę, żeby się ładnie ubrać.

– Ela, widziałaś moje soczewki? – zaczął Mati.

– Zobacz na moim stoliku.

– Elka tyle razy prosiłem.

– To ja cię proszę, kładź na swoim. Założyłeś t-shirt na lewą stronę.

– Elka schowaj te stringi, bo już czas zakładać barchanowe majtki.

– Założę pierwszy raz w życiu barchany, jak skończę pięćdziesiątkę.

– Dzięki. To już niedługo.

Adela otworzyła szafę, do której nikt nie zaglądał od kilku lat, bo tam stały wyłącznie walizki i torby podróżne Mateusza.

– Mamusiu, coś tu śmierdzi.

– Jak to? – zapytałam i podeszłam do szafy. Otworzyłam torbę. O zgrozo! Leżał w niej stary kabanos i zasuszona jaszczurka – Mateusz!

– Co Elu?

– Pstro. Wywal to. Przecież to kabanos sprzed paru lat.

– Oj tam. Da się koniom. Zjedzą.

– Widzisz Adelko, parę lat temu...

– Chodź Adelko do tatusia, przymierzmy rajstopki. I cicho tam! – uśmiechnął się do mnie.

– Adela, którą chcesz sukienkę? – zapytałam.

– Czerwoną, żeby mi już było widać cycuszki, jak tobie.

– Krzywdzisz dziecko, stringami i dekoltami – klepnął mnie w pupę Mateusz.

– Albo tą niebieską z dużym, białym kołnierzykiem od wujka Diego – dodała Adela.

– Dobrze kochanie załóż, którą chcesz.

– A czy wujek Rysiu, będzie mnie mógł powozić na koniku?

– Tak, pewnie – odpowiadałam na pytania wciągając jej rajtuzki.

– A wiesz, że koniki mówią?

– Nie.

– Wujek Rysiu rozmawia z konikami.

– Tak, i co mu mówią?

– Że jak będę duża, to wyjdę za mąż za pięknego cudzoziemca. Takiego księcia Alonzo z Enamorady.

– Całe szczęście, że za Alonzo. Przynajmniej jeszcze nikogo nie zdradził do tej pory – mówiłam do siebie, bo ta przypadłość mi została.

– A ja kocham wujka Chana.

– Rany boskie. Mateusz jesteś ojcem, porozmawiaj z nią.

– Ma to po tobie, ty z nią porozmawiaj.

– Wujek Chan ma żonę – próbowałam jej wytłumaczyć sytuację.

– No to co. Kocham go i już.

– Dobrze Adelko, masz czas. Jak będziesz duża, to na pewno będziesz wiedziała, kogo kochasz i kto kocha ciebie.

– Alejandro wiedział i co? – to niemożliwe. Ogarniała całą plejadę z „Enamorady”.

– Chodźcie zaraz przyjdą goście – zesliśmy na dół.

Oni

DIEGO I MARCELINA

– Bąbel, czy ty mnie jeszcze kochasz? – zapytała Marcelina.

– Kocham, nigdy nie przestałem – odpowiedział Diego przeliczając mydła.

– To jak wyglądają w tej sukience moje pierożki?

– Normalnie – odrzekł nie podnosząc wzroku – Jak pierożki.

– Diego!

Diego rzucił wszystko, podleciał do Marceliny i złapał za...

LILKA I JACEK BORZĘCCY

– Mamo! Jesteście gotowi? – krzyknął mąż Lilki, Jacek, muzyk eventowy. Dziś uznany producent muzyczny.

– Tak. Schodźcie powoli – odpowiedziała Marcelina. – Dokończymy Bąbel wieczorem.

Mieszkali razem. Związek Lilki i Borzęckiego był bardzo udany.

– Tato, oporządziłeś konie? Wiesz, że dzisiaj twoja kolej? – zapytał Jacek.

– Tak synu. Dzisiaj nie zapomniałem.

– Idziemy? – zapytała Marcelina.

– Jasne – odpowiedział Diego.

– Dasz buziaka? – zapytał Jacek Borzęcki przepuszczając w drzwiach swojego teścia.

– Nie synu. Nie byłbym w stanie potem niczego przełknąć.

– Dzięki tato.

MARYSIA I RYSIU

– Marysiu, i co – zgodziłaś się być producentem tego nowego programu? – zapytał Rysiu, zapinając Marysi ekspres w sukience.

CHAN I MAJTE

Chan ma zamiar ożenić się z piękną Kubanką, którą poznał w Polsce. Ich znajomość trwa tydzień. Ale to zbyt świeża historia.

WY

„Kochając marzcie o przyszłości i nie próbujcie ogarniać niczego w całości” – to cytat i mądrość taka.

ODCINEK 251

Kochając marzcie o przyszłości

Siedziałam w redakcji i poprawiałam konspekt kolejnego scenariusza na program. Napisała go „młoda cipka”, która zarzynała w przeszłości moje medialne dzieciątko. Nazywała się Ewelina Flipowicz. Nazwisko średnio medialne, ale publiczność ją polubiła. Od dawna nie miałam żalu. Byłam starsza, mądrzejsza. Czytałam jej scenariusz i coś mnie tknęło. Był inny niż wszystkie programy, które realizowaliśmy wcześniej. Nie lubimy zmian, wiem to po sobie. Trudno je zaakceptować, ale jak na nie pozwolimy, to okazują się wielkim krokiem na przód. Tak myślę.

Pomysł dotyczył wierzeń gwiazd medialnych. Mówiąc krótko: co robią, żeby nie stracić tego co mają i w co wierzą. Trudne, ale ciekawe. Nie mam na myśli aktorów-scjentologów. Czasy są takie, że każdy może sobie wybrać wiarę. Kiedy obraziłam się na świat wybrałam buddyzm, ćwiczę jogę do dziś. Czy warto? Nie wiem. Pomogło. Moja wiara w feng-shui mnie nie opuściła. Może to ma jakiś sens.

Poprosiłam Ewelinę do siebie. Bała się mnie, wiedziałam o tym.

- Dzień dobry Ewelino, usiądź proszę. Masz ochotę na kawę?
- Nie dziękuję, już piłam – odparła nie spuszczając ze mnie wzroku.
- Scenariusz, który mi dostarczyłaś jest naprawdę interesujący. Skąd taki pomysł?
- Spotkałam kogoś, kto opowiedział mi, że wiara jest tym, co kieruje naszym życiem.
- Aha, wiara w co? – pytałam, bo musiałam podjąć decyzję.
- Wiara w miłość.
- Coś więcej?
- Mnie nie uratowała wiara, ale jeśli to dotyczy innych, to może warto o tym opowiedzieć – powiedziała i spuściła wzrok.
- W miłość?
- Tak.
- Ewelina. Zaczynaj mówić jak dziennikarka, jeśli chcesz, żeby twój scenariusz ujrzał światło dzienne.
- Pamięta pani, kiedy sześć lat temu zwolnili...
- Tak pamiętam, objęłaś mój program. Nie kochałam cię za to.
- No właśnie. Sześć lat temu byłam już parę lat po studiach i pracowałam w supermarkecie w punkcie udzielającym kredytów.
- Ciekawa historia – żałosne. To była prawdziwa myśl – Skąd się wzięłaś w telewizji?
- Do banku przyszedł po kredyt niejaki pan Ryszard Konopacki.
- Co?
- Wiem, mąż pani Marii. Znaie się. Powiedział mi składając podpis na umowie, że będę pracować w telewizji, że zastąpię kogoś, kto właśnie wchodzi na inny etap życia.

– Dosyć!

– Wiem. Zaczęłam wierzyć, że takie rzeczy się zdarzają. Takie małe cuda.

– Posłuchaj Ewelina, to nie cud sprawił, że dostałaś tę posadę. Tylko miłość dyrektora stacji telewizyjnej do ciebie. Przestał cię kochać? No dobrze, daj mi czas do jutra, bo zupełnie się pogubiłam. Przeczytam ten scenariusz jeszcze raz i dam ci odpowiedź.

Ewelina wyszła. A ja czułam się jak pajac, bo chciałam powierzyć ten program Marysi, która była świetnym producentem, ale zaczęłam węszyć jakiś kretyński podstęp ze strony tego jej wróżbity. Całymi latami karmił siebie i tą biedną dziewczynę jakimiś wizjami podświadomości. Zgroza! Postanowiłam to przerwać. Bałam się, że za chwilę będą nakłuwać na lalki z wosku igielki, żeby sprawić kolejny cud.

– Marysiu, co robisz? – podniosłam słuchawkę i wszystko się we mnie gotowało, bo co jej powiem. – Zajrzyj proszę do biura, jak znajdziesz chwilę – odłożyłam słuchawkę i naprawdę czułam się jak kretyn.

O co chodzi? Co to za metody? A jeśli to niebezpieczni ludzie? Mało takich? Służąca, która nie potrafi utrzymać się ze szkolnej pensji i pan od WF-u, który przepowiada przyszłość. Przeanalizowałam wszystkie wizje Rysia i doszłam do wniosku, że to szaleństwo. Powierzyłam Marysi dział producencki. Rysiu został dyrektorem logistyki w firmie Mateusza. Podświadomość twój partner? Wyczytał to w gwiazdach czy przycwaniaczył razem z Marysią z Bzowa? Postanowiłam powęszyć trochę, taki nawyk dziennikarski. Jak się dałam nabrać na ich brazylidę, to może być różnie. Zadzwoiłam do Bzowa, do szkoły, w której pracowali oboje. Rysiu był świetnym nauczycielem, ona też. Zadzwoiłam do Mateusza, opowiedziałam mu o zdarzeniu.

– Elka, nie masz co robić? – usłyszałam w słuchawce. – Nie wierzysz w takie przypadki? Przecież od paru lat powtarzasz, że życie to suma zdarzeń nieprzypadkowych. Ogarnij się, bo nie mam czasu na wysłuchiwanie pierdół. Rysiek jest najlepszym i najbardziej oddanym pracownikiem jakiego miałem.

Summa summarum. Nie dam go skrzywdzić. Miłego dnia.

– Miłego dnia – zatkąło mnie i odłożyłam słuchawkę.

Chciałam odwołać spotkanie z Marysią ale usłyszałam pukanie do gabinetu.

– Witam Elu, chciałaś się ze mną widzieć?

– Tak. Usiądź proszę. Mam scenariusz Eweliny. Podoba mi się, ale zupełnie nie wiem jaką podjąć decyzję.

– Scenariusz o wierzeniach? Przesłałaś mi go.

– A tak. Co o tym myślisz?

– Konsultowałam go z paroma osobami.

– Z Rysiem też?

– Rzucił na to fachowym okiem. Ale stwierdził, że nie, że ludzi to nie zainteresuje.

– Dlaczego? – spytałam – przecież to są metody Rysia, wiara w te sprawy.

– Tak, ale wiara sama w sobie to trudny temat, trzeba mieć doświadczenie w przekazywaniu takich informacji. No i wiesz – muszą być czymś poparte.

– Rysiu kilka lat temu biorąc kredyt przepowiedział Ewelinie, że będzie prowadzić za mnie program.

– A, o to chodzi. Mówił mi. Rysiu wiedział, że będę pracować u ciebie, i że to odmieni moje życie. Co w tym złego? Ela, widzę, że wieszysz w tym podstęp. Myślisz, że to manipulacja, prawda?

– Prawda – nie ukrywałam swoich obaw. – Przeszło mi przez myśl, że to nie wiara wami kieruje.

– Wiedziałam, że będzie musiało dojść do takiej rozmowy, kiedyś. Rysiek naprawdę ma dar przewidywania przyszłości. Tak wiem, czasy są takie,

że trudno w to uwierzyć. Nawet nie jestem w stanie ci tego wytłumaczyć. Bo nie potrafię. Ten scenariusz, Eweliny, wyrzucić, widzowie tego nie kupią. Wiesz Elu ja kieruję się rozsądkiem. Renoma naszej stacji jest bardzo wysoka. Nie ryzykuj takimi programami. Nikt nie jest w stanie zdefiniować miłości. To już nie chodzi. Nikogo takie mechanizmy nie obchodzą. Miłość jest albo jej nie ma. Weź inny scenariusz. Ewelina jest dobra w tym, co robi i niech tak zostanie. Miłość nie w każdym wykonaniu jest miłością. Rozgadałam się. Muszę jechać na plan, bo wyszłam na pięć minut. Może porozmawiamy wieczorem? Przy kawie u ciebie?

– Nie, nie ma takiej potrzeby. Idź na plan. Do zobaczenia. To już nie była ta sama Marysia. Wierzyłam jej, cokolwiek to znaczy. Taki wiecie schemat, „od pucybuta do milionera”, ale dałam temu szansę pięć lat temu, więc po co do tego wracam?

Zadzwoniła Kwiatkowska.

– Ela, jesteś bardzo zajęta?

– Nie, ledwo zipię dzisiaj.

– Jestem na dole, mogę wpaść?

– Jasne, wpadaj.

Z Marceliną stałyśmy się sobie bardzo bliskie. Ufałam jej, postanowiłam, że opowiem jej całą historię. Nie dawało mi to jednak spokoju.

– Ela, z tego co mówisz nie ufasz Marysi – wysłuchała mojej opowieści jak zwykle z otwartą buzią. – Boisz się konkurencji z jej strony?

– Nie wiem. Nie podobają mi się takie rzeczy.

– Hello! Twoje fang-shui również namieszało w moim małżeństwie, więc też nie powinnam ci ufać. Posążek stoi do dziś. I do dziś padre Diego przemawia, co najmniej raz w miesiącu przez „uśmiechniętego buddę”. Daj spokój. To są pierdoły.

– Pierdoły?

– Pewnie. Do Kwiatkowskiej zadzwonił telefon.

– Jasne Bąbel zapytam. Elu, czy Diego może wejść na chwilę?

– Pewnie – na dole stał Diego, który przyjechał po Marcelinę.

– Witam Elu – przywitał się ze mną. – Dzień dobry Kwiatuszku – to było powitanie z Marceliną. – Czemu macie takie miny? O czym rozmawiacie?

– O czym my może rozmawiać, o miłości – powiedziała Marcelina.

– Dziewczyny dajcie już spokój z tymi pierdołami. Miłość jest albo jej nie ma. Gdyby między nami nie iskrzyło, to od dawna każde z nas byłoby z kimś innym. Nie ma obowiązku przeżywania życia wierząc wyłącznie w jakąś tam miłość. Por favor!.

– Co z tobą, Diego? – popatrzyła jego małżonka spod okularów. – Nigdy mi tego nie mówiłeś.

– Nie pytałaś. Idziemy?

– Tak. Lecimy Elu. Robimy jutro międzynarodową prezentację dla Brazylijczyków – pochwaliła się Kwiatkowska. – Tutaj na dole w sali konferencyjnej. Będzie jakieś pięćset osób. Wpadnij.

– Dzięki, ale nie będę miała czasu. Lećcie. Zazdrozczę wam – pożegnałam ich. I naprawdę im trochę zazdrościłam. Bez przerwy podróżowali, rozwijali się, kochali tę swoją dystrybucję. I ta miłość przełożyła się na ich wspólny sukces. Często wypożyczyli naszą salę konferencyjną. Coraz częściej.

Zadzwonił Mateusz.

– Elka, przyjedź po mnie jak możesz, bo odstawiłem samochód do mechanika.

– Jasne kochanie. Za godzinę będę.

*

Podjechałam po Matiego. Traf chciał, że spotkałam Rysia. Przywitaliśmy się.

– Elu, czy możesz mi poświęcić pięć minut? – zapytał.

– Pewnie.

– Rozmawiałem z Marysią. Podobno masz obawy, czy nasze...

– Nie mam już obaw. Rozwiałam je. Przepraszam, nie chciałam was urazić swoimi podejrzeniami.

– Elu, kilka sytuacji było naprawdę dziwnych. Myślę, że to przeszłość. Nie rozmawiam już od dawna ze zwierzętami. Od dawna wierzę w coś innego. Takie rzeczy zmieniają się w życiu i nie ma co przywiązywać do jednego schematu, życie płynie dalej. Jestem kimś innym, ty też. Dziękuję za wszystko.

– Proszę cię, nie chciałam was wpędzić w zakłopotanie. Cholera, przesadziłam.

– Nie. Kiedyś trzeba było to powiedzieć.

– Jest na górze Mateusz?

– Tak, wejdź do niego.

Zapukałam do gabinetu. Usłyszałam cichutkie „proszę”. Mateusz siedział za biurkiem, a przy nim dwie, piękne kontrahentki. Ups, nie lubiłam takich sytuacji. Wdzięczące się baby i Mateusz, który widziałam, że w końcu pozbył się erytrofobii. Nie czerwienił się. Był rzeczowy, konkretny, jakiś inny.

– Witam kochanie. To moja żona – przedstawił mnie uroczym paniom – Usiądź kochanie. Przedstawiam ci moje kandydatki na sekretarki. Jedna z pań od jutra zasiądzie w biurze.

No i tu gorzej, bo poczułam swój buraczkowy kolor na twarzy. Miał pięć dych na karku, ale wyglądał tak, że sama bym nie odpuściła. Co ja teraz zrobię? Poczułam się zagrożona. Widział to i nie lubił tego, bo ustaliliśmy już

dawno, że chcemy mieć ten etap za sobą. Jak mam mieć za sobą, jak te młode cipki nie spuszczały z niego wzroku i miały gdzieś moją obecność. Niech wybierze tą z mniejszym okiem. Boże, proszę.

– Oddzwonię do któregoś z pań jak podejmę decyzję. Pozdrawiam i do widzenia – pożegnał się i objął mnie. Bałam się. Zawsze bałam się, że go mogę stracić.

– Ela, która? – spojrzał na mnie. – Elka, widzę, przestań. Przestań się bać. Nigdy nie zostawiłbym cię dla sekretarki.

– A dla kogo byś to zrobił?

– Idziemy?

– A dla kogo byś...

Wszedł Rysiu.

– Panie prezesie, na jutro potrzebuję faktury. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Zaczekaj, wejdę do sekretariatu i przyniosę.

Mateusz wszedł. Zostałam z Rysiem sama. Patrzyłam w okno.

– Ela... – wiedział, że płaczę.

– Daj spokój – wytarłam nos rękawem marynarki.

– Nie powiem niczego, czego byś już nie wiedziała. Kocha cię nad życie. Przytuliliśmy się do siebie i ryczałam jak bóbr.

– Dziękuję – wyszeptalam mu w klapę.

– Dasz radę.

Wszedł Mateusz.

– Co jest? Ela? Czemu płaczesz?

– Powiedziałem Eli, że spodziewamy się z Marysią dziecka.

– Bracie! Gratuluje! – uściskał Mateusz Ryśka.

– Gratuluję – ucałowałam Ryszarda z Bzowa po raz kolejny.

– Kiedy? – potargał mu fryzurkę prezes.

– Za pięć miesięcy.

– Kto jest ojcem? – zażartował Mateusz.

Całe szczęście, że wszyscy kupowali te brazylijskie dowcipy. Marysia z Bzowa zostanie matką. Wsiedliśmy z Mateuszem do samochodu. Długo nic nie mówiliśmy.

– Ela. Kocham cię – przemówił pierwszy.

– Ja też cię kocham – nie miałam wątpliwości, że oboje mówimy prawdę.

*

Wieczorem przemyślałam całe ostatnie pięć lat. Rano weszłam do redakcji i poprosiłam do siebie Ewelinę.

– Kawy? – zapytałam. – Ewelina, nie wezmę tego programu. Wiara jest czymś bardzo intymnym. Nie chcę poruszać takich tematów na wizji.

– Tak, poproszę kawę. Rozumiem. Chciałabym z panią porozmawiać.

– Jasne, proszę: cukier, łyżeczki.

– Parę lat temu, przespałam się z kimś, żeby dostać program, który pani prowadziła – nie wiedziałam o tym, ale domyślałam się.

– Szkoda, że mi to mówisz, bo wierzyłam w ciebie i w twój talent – było mi naprawdę przykro, ale trochę miałam dosyć tej swojej nie uzasadnionej dobroci. – Przykro mi, ale zwalniam cię Ewelina – wiedziałam, że to słuszna decyzja, całymi latami ta sytuacja nie dawała mi spokoju.

– Wiem, sama chciałam o to poprosić – odrzekła.

– Ułatwiam ci to.

– Do widzenia i przepraszam.

– Nie przepraszaaj, dzięki tobie zmieniłam swoje życie. Może bardziej dzięki sytuacji, którą stworzyłaś. A teraz musisz zadbać o swój talent, bo go masz. Powodzenia.

Ulżyło mi. Młoda dziennikarka, która dzisiaj miała ponad trzydzieści lat, uwolniła mnie od przeszłości. To nie wiara kazała mi zmienić życie, tylko schemat, który pojawia się nie tylko w brazylijskich serialach. Zeszłam do sali konferencyjnej, w której Kwiatkowscy robili prezentację. Nie wierzyłam. Cała sala wypełniona po brzegi Brazylijczykami, którzy przyjechali, żeby wysłuchać tego jak zostać milionerem w trzy miesiące. Na scenie stała Marcelina z Diego, mówili coś o wierze w firmę, w produkty. Ludzie skandowali, wywijali marynarkami, krzycząc – Tak, chcemy! Wiedziałam, że tej nocy spać dobrze nie będą oboje. Zostali „Złotymi Dystrybutorami”, cokolwiek to znaczy. Nigdy nie przyszli pożyczać cukru. Doszli do wszystkiego sami. Nie wiem jak to zrobili. Każdy ma swoją brazyliadę. Pojechałam do domu, żeby obejrzeć z Adelą „Enamoradę”. Obiecałam jej to.

– Mamusiu, Alonzo się zakochał – usłyszałam od Adeli.

– W kim? – zapytałam, bo byłam kilka odcinków do tyłu.

– W tej pięknej młodej dziewczynie, co ma na imię tak samo jak ja.

– W Adeli?

– Tak. Rysiu mówił, że spotkam takiego Alonzo kiedyś w życiu.

– Spotkasz, na pewno kochanie.

– Chcę tego. Zadzwoiła do drzwi Marcelina.

– Ela, odnieśliśmy sukces! – była bardzo szczęśliwa.

– Wiem, widziałam waszą prezentację. Wejdz.

– Nie, ja tylko na chwilę. Wiesz, że Chan i Majte będą mieć dzidziusia?

– Naprawdę?

– To będzie chłopiec. Już nawet wiedzą jak będzie miał na imię: Alonzo. Pięknie prawda?

Adela odwróciła w naszą stronę główkę. Podniosła kciuk i krzyknęła:

– Mamusiu. Hurra!

– Tak, hurra – odpowiedziałam.

– Elu, pożycz kilo cukru. Mamy gości, a Diego zapomniał, my tylko kupujemy firmowy w kostkach.

– Jasne. Zaraz przyniosę. Zamknęłam drzwi, usiadłam przy mojej córce, patrzyłam na nią i czułam, że przepowiednie Rysia się spełnią.

Enamorada niech trwa bez końca, chcę wiedzieć czy Alonzo będzie szczęśliwy z Adelą.

ODCINEK 252

Ślub

Jest niedziela. Piękny, słoneczny dzień. Postanowiliśmy pójść całą rodziną na spacer. Obejrzeliśmy film, każdy założył co tam miał, wzięliśmy kanapkę dla Adeli i Mateusza. Szliśmy.

– O czym myślisz mamusiu? – spytała Adela.

– Chyba o niczym, patrzę na liście. Są kolorowe i piękne. Brązowe, żółte. Jak twoje włosy.

– Moje włosy są brązowe?

– Pewnie.

– A tata, jakie ma włosy?

– Trochę srebrne, trochę brązowe. Wiesz, staruszek.

– Ale nie ma laseczki – zadawała swoje cudne pytania.

– Ma, ale schowaną – Mateusz spojrzał, bo wiedział jaką laseczkę mam na myśli.

– A wyjmuje ją czasami?

- Raz na jakiś czas.
 - Czemu nic nie mówisz tato? – skierowała wzrok w stronę swojego pa-
dre.
 - Słucham was – odparł.
 - Tato strasznie szurasz bucikami. Listki to boli.
 - Przebiegnijmy szybko przez te liście, żeby niczego nie poczuły
 - Mateusz wziął Adelę na ręce i biegliśmy przed siebie.
 - Tato stój, tam ktoś leży!
- Faktycznie, ktoś leżał w krzakach.
- Mateusz, podejdiesz? – zapytałam, bo sama bym tego nie zrobiła.
 - Zostańcie tu. Sam zobaczę – znalazł kij i podszedł. Odgarnął liście, do-
tknął nogawki spodni, ale człowiek się nie ruszał.
 - Nie żyje – powiedział.
 - Pokaż – podeszłam bliżej.
 - Bez kija nie podchodź – podał mi kij Mateusz.
 - Trup albo bezdomny – spojrzałam na jego twarz. – Mateusz! To Almo-
dovar.
 - Jaki Almodovar? – spytał.
 - Były naczelnny.
 - Ty chyba żartujesz. Adelko nie idź, proszę, sam zobaczę.
 - Mamusiu znasz tego pana?
 - Nie wiem jeszcze – odparłam, bo nie byłam pewna. – Chodź Mati, zer-
knij.
 - Proszę pana! – szarpał za ramię człowieka mój mąż. – Proszę się obu-
dzić.

- Precz! – usłyszeliśmy. Żył, ale był mocno alkoholowo trafiony.
- Chodźmy, niech leży. Faktycznie podobny.
- Tatusiu, on wygląda jak Alehadro z „Enamorady”. Też taki obdarty i bez domku.
- Chodźmy stąd – trochę się Mati zdenerwował. – Zadzwoń na policję, niech go zabiorą.
- Na policję? Ani mi się waź! – odwrócił w naszą stronę twarz, „piękny” nieznajomy.
- Wiesz kto ja jestem? Wiesz? Jestem celebrytą.
- Niech pan idzie do domu – patrzyłam z niedowierzaniem, bo to był Almodovar.
- Zniszczyli mi życie i karierę – beblał nieprzytomny. – Nigdzie nie pójdę.
- Co robimy? – spytałam Mateusza. – Przecież to on. Nie można go tak zostawić.
- Musiał się wyłożyć właśnie tu i właśnie dziś! Rany! Nie wiem. Będą nas ciągać po komisariatach, znasz go przecież.
- Pamięta mnie pan? – przysunęłam swoją twarz bliżej niego. – Nazywa się pan Stanisław Wyspiański, prawda? – Boże takie nazwisko i taka niesława. Masakra. – Pamięta pan czy nie?
- Nie. A co kurde, aktorka? Jakbym cię miał, to bym pamiętał.
- Byłeś naczelnym w mojej w redakcji.
- Jestem naczelnym w niemieckiej redakcji. Gadasz po naszymu?
- Może zadzwoń do Rysia, niech go do nas zawiezie.
- Ty chyba Elka żartujesz?! Dzwonię do „wytrzeźwiająki”. Mało miałaś z nim problemów? To było do przewidzenia, tacy nie kończą normalnie. Nie będę się rozczulał, rozumiesz?

– Nie rozczulaj się panie jakiś tam – dyskutował Stanisław – zostaw człowieka, jak śmiecia.

Mateusz miał rację, zadzwoniłam do izby wytrzeźwień, przedstawiłam się i powiedziałam, że leży człowiek. Mieli przyjechać za dziesięć minut. Nie chciałam, żeby Adela oglądała takie sceny. Więc ruszyliśmy z powrotem do domu. Usiedliśmy i rozmawialiśmy długo o tym, co zobaczyliśmy. Ale takie kariery też się zdarzają. I to chyba nie jest rzadki przypadek w tych czasach. Przypomniałam sobie scenariusz Eweliny. Poruszała w nim taki temat. Wierzenia gwiazd, żeby nie stracić tego, co się ma. Ale to chyba nie jest kwestia wiary. Zamknęłam rozdział.

*

Graliśmy z Mateuszem i z Adelą w karty, kiedy zadzwonił telefon.

– Ela? Tu Chan.

– Chan, jak miło.

– Elu, chciałbym waszą rodzinę zaprosić na mój ślub z Majte.

– Super, to cudowna informacja.

– Możemy wpaść z zaproszeniami?

– Pewnie, kiedy tylko chcecie.

– Dzisiaj?

– Zapraszam. Może być dzisiaj.

– Hasta luego – czyli na razie.

Zjedliśmy obiad i czekaliśmy na pojawienie się gości. Miałam trochę lepszy humor tą sytuacją z Almodovarem, ale kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, zapomniałam o wszystkim.

– Witajcie – naprawdę ucieszył mnie widok Chana i Majte i wiadomość, że będą mieli dziecko.

– Dzień dobry Elu. Cieszę się, że was widzę – ucałował mnie Chan.

Majte mówiła po polsku, bo się tu urodziła. Poznali się na jakimś występie Chana. Gra w dwóch zespołach. W musicalu i jeszcze gdzieś. Powiodło mu się. Majte była lektorem hiszpańskiego, też fajnie. Udana i ładna para.

– Elu – zaczęła Majte – chcieliśmy zaprosić was na ślub i wesele.

– Świetna wiadomość – odezwał się Mateusz – Gratulujemy.

– Oto zaproszenie – podał nam je Chan.

– Gratuluję, będziemy z pewnością.

– Dużo gości przewidujecie? – zapytałam.

– Jakieś trzysta osób – odrzekli razem.

– Co? Trzysta? – Mateuszek złapał się za skroń, bo obliczył szybko w myślach koszty.

– Tak. Z tego sto prosto z Kuby – Chan wyjął zdjęcia rodziny Majte, bo jego rodzinę już znaleźliśmy. – Nasi rodzice, cała rodzina i wszyscy od Majte.

– A to z przepychem – zapodał mądrość Mateuszek.

– Pewnie, raz się żyje – uśmiechnął się Chan.

– Kiedy? – zapytałam.

– Za miesiąc – powiedziała Majte i złapała się za brzusek. – Spieszmy nam się.

– Zrozumiałam, żadnych pytań.

*

Postanowiliśmy z Mateuszem „przygwiadzić” na tym ślubie. Wymyślaliśmy strategię. Stroje i niebanalny prezent.

– Może zamówimy im zespół w prezencie? – zaproponowałam.

– Diego ma muzyka w domu.

– A jasne, zapomniałam.

– To może limuzynę – sypałam propozycje jak z rękawa.

- A może wystarczy zmywarka – dyskutowaliśmy czytając czasopisma.
 - Może – wzięłam Adelę na kolana.
 - Mamusiu, kiedy urodzi się Alonzo?
 - Kto? – spytał Mati.
 - Alonzo, mój braciszek.
 - Nie braciszek, tylko kolega.
 - Aha, można się żenić z kolegą? – pytała patrząc mi w oczy i czesząc mi włosy.
 - Można, jak się kogoś kocha, to można – pocałowałam ją w małą rączkę, trzymającą malutki grzebyczek od zestawu Barbi.
 - Aha.
- Kupiliśmy im zmywarkę, a „przygwiazdorzyć” oznaczało kupić kreację w Zarze.

*

Marcelina strasznie przeżywała ten ślub i przyjazd rodziny Diego z Kuby. Cieszyłam się na myśl, że ich zobaczę. Stęskniłam się za Kubą. Byłam tam już trzy razy. Naprawdę kochałam, to miejsce. Ślub odbywał się w pałacyku, do którego mieliśmy dziesięć minut drogi. Tam braliśmy ślub z Mateuszem. Tam Kwiatkowscy powiedzieli sobie „tak”. Wesele miało odbyć się w ogromnej sali, z ogrodami jakieś pół godziny drogi. Na ślub poszliśmy pieszo, do sali zawiozła nas limuzyna. To było jednak gwiazdorstwo. Trzysta osób, trzeba się było wyróżnić. Weszliśmy do sali balowej, dostaliśmy szampana, truskawkę i czekaliśmy na młodych.

- Hola! Ela! – Miguel, ojciec Diego, nie ukrywał radości. My też.
- Que tal Miguel! – to znaczy „jak się masz”. Krzyknęłam z wielką radością.
- Dobrze – odpowiedział, klepiąc mnie po plecach.

– Hello! Mówisz po polsku? – zapytałam z niedowierzaniem, bo był przecież starszy niż pięć lat temu i trudno nauczyć się obcego języka w tym wieku.

– Pewnie, robię to dla dzieci. Moja żona ma mieć też nauczone języka. Tu sentencji nie zrozumiałam, ale było cudnie.

Weszli młodzi. Składanie życzeń przez tyle osób trwało prawie godzinę. Mateuszek przysunął się do mnie.

– Przepraszam, podać ci kanapeczkę?

– Proszę cię, nie zaczynaj.

– Podać?

– Nie.

Sam oczywiście poszedł i wziął. W życiu z tego nie wyrośnie. Przestałam się tym kompletnie przejmować. Po pół godzinie dopchałam się do młodych.

– Życzę wam, żeby Enamorada trwała wiecznie – czemu ja to powiedziałam?

– Co? – spytał Chan.

– Dziękuję Elu – ucałowała mnie Majte, bo enamorada w języku hiszpańskim znaczy zakochana.

– Wszystkiego najlepszego – i odeszłam. Sama zgłupiałam, więc poszłam wypić lampkę wina.

– Coś się stało? – spytał Mati z kanapką w ustach. Patrzyłam i po raz pierwszy mnie, to nie złościło.

– Nie. Przynieś mi też coś.

– A ty mi wlej kielonka.

Przynieś, wynieś, wlej kielonka i tak już prawie trzydzieści lat. Myślałam i patrzyłam na młodych.

Padre rozpoczął przyjęcie tańcem z panną młodą. Wiecie jak wygląda wesele na trzysta osób. Nikt nikogo nie zna. Stoliki po osiem osób. Siedzieliśmy z Rysiem, Marysią z Kwiatkowskimi, z Jackiem i Lilką. Chan z rodzicami obok nas. Kelnerzy przynieśli przystawki i rozpoczęliśmy pogaduchy.

– Jak tam bracie? – zaczął Diego rozmowy z Mateuszem.

– Co u ciebie Elu? – przysunęła się bliżej Marcelina.

– Kochasz mnie? – spytała Lilka swojego męża.

Diego spojrział na nich i powiedział:

– Kocha od pierwszego odcinka. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Lilka uśmiechnęła się do Diego i dała buziaka Jackowi.

– A ty kiedy będziesz babcią? – zapytałam Marceliny.

– Nie wiem, nie pytałam. Są szczęśliwi, na razie nic nie mówią o dzieciach. Padre stukał w kieliszek.

– Salud! – krzyczał do gości przez mikrofon. Kapela rozpoczęła przyjęcie weselną piosenką Chan-Chan. Znam słowa, więc siedziałam i tłumaczyłam Mateuszowi, bo zawsze chciał wiedzieć, co oznaczają. Zwłaszcza dziś.

Z Alto Cedro jadę do Marane. Dojeżdżam do Cueto, potem do Mayari. Nie zaprzeczę miłości, którą czuję do ciebie. Wilgotnieją mi usta, nie powstrzymam się. Kiedy Juanita i Chan Chan, przesiewali piasek na plaży jakże pośladki jej drgały, jakże Chan Chan się rozpalał. Oczyścić przejście z suchych trzciny, bo muszę usiąść na tym pniu, inaczej nie wytrzymam.

– Co jej zrobił potem? – spytał Mati – Mówią coś o tym?

– Mówią w ostatniej zwrotce – odpowiedział Diego.

– Napijmy się bracie – podniósł kieliszek Mateusz i wszyscy śpiewaliśmy – łącznie z moim mężem, który kaleczył język i przesłanie tej pięknej pieśni.

Nie zabrakło „Besame mucho” i „Dos Gardenias para ti”.

Dwie gardenie , które ci ofiarowuję znaczą, że mówię Kocham.

– I Tu Guo has hecho! – krzyknął Diego, to był tytuł znanej na Kubie piosenki Buena Vista.

Piosenka była piękna i wiedziałam, że zadedykowana kubańskiej miłości sprzed lat, która miała wytatuowane imię Juanita i Diego na piersiach. Poznałam, bo piosenka zaczynała się słowami:

Na pniu drzewa młodzianka dziewczyna wyryła swe imię...

– El Carretero! – krzyknęła Marysia, bo wychowała się w Hiszpanii i też wiedziałam, komu ją dedykuje i do kogo pije:

Drogą obok mojego domu, przejeżdżał wesoły woźnica. Śpiewał swe pieśni, jak beztroski wieśniak. Jadę do węzła kolejowego, tam rozładuję swój wóz. Będzie to koniec roboty, od której boli mnie grzbiet.

– Chcesz mi coś dedykować? – spytałam Mateusza.

– Si. „Majteczki w kropeczki przemienię w barchany”.

O dwunastej tradycyjnie odbyło się rzucanie wianka i krawata pana młodego w stronę gości. Wianek złapała mama Diego, a krawat pies właściciela sali. Trzysta osób łapało, a tak się musiało skończyć. Może to dobry znak, ale nie konsultowałam tego z Rysiem, który o drugiej nad ranem zarządził karaoke. Miguel trzymał się dziarsko, ale widziałam jego twarz w sałatce o jakiejś trzeciej, Mateusz padł o trzeciej trzydzieści, a Diego o trzeciej trzydzieści pięć. Panowie nie szczędzili sobie ciepłych słów i trunków. „Przygwiadzorzyliśmy” niewątpliwie.

*

Poprawiny odbyły się bez nas. Zachorowała Adela. Nie wiedziałam, co się dzieje. Była nieprzytomna z gorączki. Zdarzyło się to po raz pierwszy, sytuacja była naprawdę niewesoła. Trzeba ją było zawieźć do szpitala.

– Panie doktorze, i co? – zapytałam lekarza, który ją badał.

– Niedobrze – usłyszałam i wpadłam w panikę. – Co jadła wczoraj?

- Nie wiem, nie było nas.
- Ktoś z nią przecież był – sapnął lekarz, bo jak to tak zostawiać trzylet-
nie dziecko.
- Była z nianią – powiedziałam ze łzami w oczach.
- To proszę zadzwonić do niani i zapytać. Zadzwoniłam. Byłam przera-
żona.
- Nie wiem. Ale wejdę do pokoju, może tam coś się zdarzyło – odpowie-
działa.
- Czekaliśmy na jej telefon godzinę.
- Pani Elu – oddzwoniła w końcu. – Nie wiem jak to powiedzieć – sły-
szałam, że się trzęsie.
- Mów! – krzyczałam przez telefon.
- Chyba zjadła soczewki pana Mateusza.
- Mateusz! Ona zjadła twoje soczewki! – opuściłam telefon.
- Halo! Pani Elu i jedną pani soczewkę.
- Mówiłem! Nigdy nie kładź na stoliku! Mówiłem?! – darł się Mateusz.
- Uspokój się! – doszedł do nas lekarz.
- Wiadomo co zjadła? – zapytał.
- Soczewki – byłam zmieszana i zawstydzona.
- Całe szczęście.
- Tak pan mówi? To dobrze – zaczął bezmyślnie odpowiadać Mateusz.
- Proszę ją zostawić do jutra, powinno być lepiej.
- Możemy z nią zostać? – zapytałam.
- Nie, proszę się kontaktować i przyjechać rano.

*

Wróciliśmy do domu. Nie mieliśmy siły rozmawiać, bo przecież żadne z nas nie spodziewało się tego. W tym dniu skończyłam ze stringami, z głupotami, zaczęłam zakładać barchany i kładłam soczewki na półce przy łóżku Mateusza, który zawsze delikatnie chował je do pudełeczka i wsuwał do szufladki. Przytuliliśmy się do siebie i baliśmy się jak nigdy w życiu. Włączyliśmy telewizor. Zobaczyłam reportaż o bezdomnym celebrycie, który zamarzył w parku, dziesięć minut drogi od nas. Nazywał się Stanisław Wyspiański. To oznaczało, że nikt po niego nie przyjechał. To nie był dobry dzień. Ktoś, kto był na szczycie skończył w nieprzewidywalny sposób. O tym był właśnie scenariusz Eweliny. Zastanawiało mnie to, dlaczego właśnie w tym momencie, zaistniała taka sytuacja. Nie będę pytać Rysia, przeanalizuję to sama.

*

Adele odebraliśmy po trzech dniach ze szpitala. W drzwiach minęliśmy Chana. Przywiózł Majte, bo jej ciąża była zagrożona. Adela przytuliła się do jej brzucha i powiedziała:

– Wszystko będzie dobrze, będziesz żył, tak jak ja. Chcę tego.

Nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli. Ale podobno nasze myśli mają wpływ na nasze życie. Więc myśleliśmy pozytywnie.

ODCINEK 253

Enamorada dziesięć lat później, czyli Przepowiednia Rysia

Minęło pół roku. Głośno było w mediach o śmierci Wyspiańskiego, ale moja stacja nie zajęła się tym. Wszystko płynęło swoim torem. Majte uratowała ciężę i to było ogromne szczęście. Chowaliśmy przed Adelą wszystko, co leżało na półkach. Ale była już pół roku starsza, więc przestało ją interesować jedzenie soczewek i wszystkiego, co leżało na wierzchu. Firma Mateusza bardzo się rozrosła. I trzeba przyznać, że olbrzymi wpływ na to miał Ryszard, który był dyrektorem logistycznym. Kubańczycy byli zachwyceni współpracą, więc teraz Ryszard jeździł i trzaskał kaskę w dobrym tego słowa znaczeniu. Mateusz wolał zarządzać firmą na miejscu. Właśnie wysłał Ryśka w kolejną podróż na Kubę, więc zaprosił go do nas.

– Chodź Rysiu – otworzyłam mu drzwi.

– Jest Mateusz?

– Tak, ogląda z małą serial, wejdź.

– Dzień dobry brzdącu – przywitał się Rysiek z Adela.

– Dzień dobry wujku. Oglądam z tatą „Enamoradę”.

– Tak? A o czym to jest?

– Proszę cię, to idzie szósty rok, nie każ jej opowiadać – zarządził Mateusz.

– No dobra, to chociaż króciutko. Mów Adelka.

Adela w czasie, kiedy robiłam herbatę opowiedziała co najmniej sto odcinków.

– A widzisz – włączył się do rozmowy Rysiu. – Ta pani, Delfina, ta służąca odejdzie z pracy za pół roku. Tyle jej daję. Señor Ernesto rozwiedzie się za jakiś rok, też tyle mu daję. A pan Alejandro, chyba skończy jak celebryta w parku. Ale najszcześliwszym człowiekiem w tym serialu jest Alonzo. On nigdy nie zdradzi swojej ukochanej. Będą zawsze bardzo szczęśliwi.

– Skąd wiesz? – spytała Adela.

– Mam nosa i to niezłego. Muszę iść porozmawiać z tatą.

– Dobrze. Kiedy wrócisz z Kuby? – mała bardzo lubiła Ryśka.

– Coś ci przywiozę.

– Jak wasza malutka? – spytałam, bo Marysia urodziła piękną córkę.

– Wszystko jest super. Mała jest urocza i zdrowa, to najważniejsze.

– Leć do Mateusza i pozdrów Marysię – pocałowaliśmy się i panowie poszli na górę.

Zostałyśmy z Adela. Ja przysnęłam, a ona oglądała. Obudził mnie jej płacz.

– Co się stało kochanie?

– Alonzo jest chory – płakała, zanosila się.

– Zjadł soczewki? – spytałam.

– Mamo, on ma szczupaka.

– Chyba raka.

– To takie coś, na co się umiera. On umrze, prawda?

– Nie wiem. Rysiu twierdził, że nie. Adelko przytul się do mnie. To tylko film. Tam grają aktorzy, a pan reżyser mówi im, co ma robić. Nic się nie dzieje naprawdę.

– Zawołaj Rysia.

– Po co? Jest zajęty, rozmawia z tatą. Nie możemy im przeszkadzać.

– Boję się takich rzeczy.

– Nie bój się, to naprawdę tylko film. Rysiu tu nie pomoże.

– Pomoże go uzdrowić.

Bawią mnie takie rzeczy, ta cała sytuacja z Ryśkiem i jego przepowiedniami to niezła zabawa. Rysiek schodził po schodach, a mała podleciała do niego z płaczem i prosiła, żeby uzdrowił Alonza. Rysiek usiadł koło nas, patrzył w telewizor. Wiedziałam, że chce coś powiedzieć Adeli, ale się mnie wstydzi.

– Rysiu, soczku? – poszłam do kuchni. Stanęłam przy drzwiach i słuchałam.

– Adelko – zaczął. – Nie mogę uzdrowić nikogo, nie potrafię. A to jest tylko film. Zagrasz kiedyś w takim filmie i tam poznasz swojego Alonza, który będzie dla ciebie dobry i będzie cię kochał równie mocno, za jakieś trochę ponad dziesięć lat. Jak dorośniesz. Zaufaj mi.

– To fajnie – odpowiedziała moja córka i przełączyła kanał na inny film.
– Nie chcę już tego oglądać.

– Bo już jesteś na takie bzdury za duża – odpowiedział Ryś. – Elu, lecę. Do zobaczenia.

– Cześć Rysiu, powodzenia. Soku?

– Nie, spieszę się do swoich.

– Pewnie. Powodzenia.

Oglądałyśmy Enamoradę coraz rzadziej Adela rosła.

*

Ponad dziesięć lat później...

– Mamo, dostałam rolę w hiszpańskim serialu.

– Jesteś aktorką i to dobrą, wierzyłam w to. Co to za serial?

– „A jak Amor”, zagram go z tym młodym znanym aktorem Alonzo Visto.

*

Wiedziałam zawsze, że moje życie się wypełni w fascynujący sposób. Kochaliśmy z Mateuszem całość. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Do osiemdziesiątki zostało jeszcze trochę.

Joga mi służy – polecam, odmładza.

Feng-shui – polecam.

Przepis na picadillo – podałam.

Na Kubę musicie pojechać sami.

Z seriali polecam „A jak Amor”.

Moja córka wyszła za mąż za najwspanialszego faceta na świecie.

Diego i Marcela – żyją. Mają dwójkę wnucząt, cztery konie i już innego psa.

Rysiu z Marysią mieszkają w Sewilli.

Mateusz jest na emeryturze. Ja nie. Pracuję w swojej redakcji i cały czas odnoszę sukcesy.

Enamorada nie skończyła się! Trwała i trwała. Scenariusz pisał ktoś, kto potrafił ogarnąć całość brazyliady. Ja potrafiłam ogarnąć tylko swoją.

„Kochając myślcie o przyszłości i nie próbujcie ogarniać całości”.

Polecam.

Pozdrawiam.

Ela